Nr. 29. Warszawa, dnia 22 (10) Lipca 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Administracya „Prawdy" od dnia 8 b. m. mieści się przy ulicy Żórawiej nr. 34, na dole.

Zwracamy uwagę, że według najnowszych przepisów pocztowych pieniądze przesyłane w listach rekomendowanych lub zwyczajnych są konfiskowane i że tego rodzaju przesyłki nie należy używać.

POLITYKA.

DALSZY SKOK.

Szesnastoma głosami hr. Caprivi przeparł swój projekt wojskowy w sejmie niemieckim. W epoce, kiedy często najważniejsze sprawy rozstrzygane są jednym głosem większości, szesnaście staje się cyfrą poważną. Zresztą rządowi mniej chodziło o świetność zwycięztwa, niż o jego skutek, o to, ażeby mu dodano 70,000 wojska. Cel ten został osiągnięty, a rozwiązanie parlamentu okazało się środkiem praktycznym. Do jakiego zaś stopnia w najwyższych sferach rządowych wyczekiwano pomyślnego rezultatu z upragnieniem i niepokojem, świadczy przyjazd cesarza do gmachu sejmowego w chwili głosowania. Chociaż mu ustawicznie donoszono o przebiegu obrad, nie mógł wytrzymać i przybył na miejsce, ażeby mieć wiadomości bezzwłocznie. Dziś już jest zadowolony, wolny od dokuczliwej troski, zaraz też pojechał na wycieczkę morską.

Czemu przypisać tę uległość parlamentu? Czy służalstwu stronnictw, stanowiących większość, czy karności wobec rządu, czy zaufaniu do niego? Prawdopodobnie wszystkie te czynniki przyjęły udział w uchwale, którą tylko nimi wytłomaczyć sobie można. Bo bądź co bądź, większość oddała swe głosy na ślepo. Mniejsza o pomnożenie armii, łatwo bowiem przypuścić, że kanclerz przekonał zwolenników projektu o potrzebie wzmocnienia sił zbrojnych państwa, a oni jako dobrzy patryoci nie stawili mu oporu; ale bynajmniej nie objaśnił ich, z jakich źródeł pokryte będą znaczne na ten zbytek wydatki. Gdyby szło tylko o wyjęcie ze skarbca leżących tam bez przeznaczenia milionów i zużytkowania ich na wojsko, zgoda na to sejmu nie przedstawiałaby nic nadzwyczajnego. Ale tych milionów nie ma, skarbiec jest pusty, trzeba go dopiero napełnić, a napełnić można tylko nowymi podatkami. Jakimi? Przemysł powiada, że już jest dostatecznie obciążony, rolnictwo żąda ulg i o żadnych ofiarach słyszeć nie chce, ogół spożywczy jęczy pod brzemieniem opłat, trybunowie klas niższych biją skargą we wszystkie dzwony, z kogo tu więc wycisnąć miliony marek? Zobaczymy — mówi hr. Caprivi, mrugając na Miquela, pruskiego ministra finansów, który służy również radą w sprawach całej rzeszy, a jest majstrem w wynajdywaniu coraz świeższych zdrojów podatkowych. Zobaczymy, ale nie ci, to owi ujrzą z pewnością bardzo przykrą niespodziankę, która głęboko sięgnie do ich kieszeni.

Dlaczego rząd niemiecki nie wniósł naprzód projektu finansowego, a potem wojskowego, zrozumieć łatwo, gdyż nie mając zapewnionego celu, nie mógł starać się o środki. Ale dlaczego nie wniósł obu odrazu? Na to nie pozwalała mu taktyka parlamentarna. Przeciągnął on na swe stronę reprezentantów kapitału ruchomego, przemysłu i rolnictwa; otóż pytanie, gdyby oni wiedzieli, że ze skóry ich wyborców będzie załatana ta dziura, czy by się odważyli głosować za powiększeniem armii. A przecież niewielu z nich obaliłoby projekt. Gdyby się cofnęło tylko 16, już on by upadł.

W sesyi jesiennej rząd ma przedstawić swój plan wydobycia z narodu niezbędnych sum. Ponieważ zaś nie zdoła on żadnym sposobem oszczędzić tych, którzy mu teraz usłużyli, więc nie uniknie walki z własnymi sprzymierzeńcami. Kto wymówił *A* — powiada niemieckie przysłowie — musi także wymówić *B*. W tem położeniu znajdują się konserwatyści, narodowo-liberalni i postępowcy, którzy głosowali za projektem wojskowym. Przyjąwszy go, będą musieli również zgodzić się na środki i albo poświęcić siebie (a właściwie swoich wyborców), albo wyszukać inne kozły ofiarne, co im przyjdzie z trudnością.

Za granicą a raczej w dwu państwach ościennych zwycięztwo hr. Capriviego poddano naturalnie starannemu oświetleniu i wyciągnięto z niego wnioski dla siebie. Francuzi, którzy w wyścigu militarnym z Niemcami, nie chcą być ani na chwilę zdystansowani, nawołują swój rząd do dalszego potęgowania sił zbrojnych. W podobnym duchu odzywa się prasa ruska. „Patryoci niemieccy — pisze *N. Wremia* — mogą sobie dowodzić, iż wszelkie olbrzymie uzbrojenia ich ojczyzny podjęte zostały jedynie w widokach samoobrony; nam, wiedzącym doskonale, jak elastyczne jest wogóle pojęcie tej samoobrony, wolno być innego zdania. Sprawa jest nader prosta i jasna. Do ostatnich czasów Niemcy, dzięki wydoskonaleniu swojej organizacyi wojskowej, miały znaczną przewagę nad sąsiadami; mogły one w przeciągu nader krótkiego czasu rzucić na terytoryum nieprzygotowanego jeszcze przeciwnika milionową armię i tą drogą osiągnąć w pierwszym okresie wojny ważne rezultaty. Jednakże udoskonalenia Niemiec w tym kierunku malały z roku na rok. Sąsiedzi, którym nie uśmiechała się wcale perspektywa zalania ich terytorów przez zastępy niemieckie, zaczęli wytrwale ulepszać swoją organizacyę wojskową, aby mieć możność oparcia się nieprzyjacielowi tuż na granicy, a zabiegom ich towarzyszyło coraz większe powodzenie. Wtedy to Niemcy, widząc wyślizgującą się im z rąk przewagę, zdecydowały się na rozpaczliwy wy-

siłek dla utrzymania jej i w tym celu ułożono znany projekt prawa będący w ostatnich czasach jednym z najśmielszych kroków z ich strony w sprawie uzbrojeń. Projekt ten, mający nietylko zwiększyć liczebnie armię niemiecką, lecz stworzyć również na granicach państwa potężną siłę bojową, nadającą się zaraz po wypowiedzeniu wojny do działalności samoistnej i to na wysoką skalę, posiada dla sąsiadów Niemiec znaczenie bardzo doniosłe, może im bowiem zapewnić tę samą przewagę, jaką miały niedawno i z którą nie można było się pogodzić bez uszczerbku dla bezpieczeństwa państwowego. Czyż więc teraz pogodzić się z nią można?

„Francya — twierdzą wojskowi niemieccy — posunęła się już w swoich uzbrojeniach do ostatnich kresów i dalej iść nie może. Otóż z większą chyba słusznością powiedzieć można, że Niemcy po wprowadzeniu w wykonanie nowego projektu staną się już niezdolnemi do forsownych uzbrojeń. Skoro zaś rzeczy tak się mają, to czyż mocarstwom, przeciw którym zwracają się te olbrzymie uzbrojenia, nie należałoby się pośpieszyć z zastosowaniem odpowiednich środków celem zrównoważenia sił? Toć uzbrojenia Niemiec są już ostatnim wysiłkiem.“

Zwykle bywa dość zawodnem oznaczenie, gdzie jest kres sił jakiegoś państwa; przypuszczamy więc, że ten nowy skok Niemiec w kierunku uzbrojeń nie jest ostatnim i że one jeszcze zdobędą się na dalsze. Kiedy spotkają się z granicą, po za którą nie przejdą, to jest tajemnicą przyszłości, może już niedalekiej, ale jeszcze nam nieznanej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jeżeli hr. Bismark, występując ze swą „dziewiczą mową“ w sejmie niemieckim, miał zamiar odrazu wyrosnąć na bohatera parlamentarnego, a ojciec, pasując go na rycerza, łudził się, że syn zacznie dziedziczyć i jego sławę, to obaj omylili się grubo. Został on bowiem wyśmiany i niemal skarcony za swe impertynencye przeciwko kanclerzowi. Nie posiadając ani talentu, ani idei, nic, co odznaczało i wyniosło ojca, chciał być równie jak on lekceważącym, buńczucznym i zuchwałym. Takie rysy szpecą ludzi wielkich, a fatalnie karykaturują małych, zwłaszcza gdy ci usiłują naśladować pierwszych. Hr. Herbert zapomniał, że nie dosyć nazywać się Bismarkiem, trzeba nim być, ażeby módz traktować rząd i sejm z góry. To też naraził się na śmiechy, sykania, a wreszcie na to, że go prezes przywołał do porządku.

Jakże odmiennie przedstawiają się koleje dwu projektów rządowych w dwu parlamentach. Podczas gdy hr. Caprivi miał ciężką pracę z sejmem i nie spodziewa się żadnego oporu w Radzie związkowej, Gladstone całkiem przeciwnie, gładko doprowadza bil irlandzki do mety w Izbie niższej, a nie ma nadziei uratowania go w wyższej. Lordowie nie odrzucą całej ustawy, ale tylo w niej zaatakują punktów szczegółowych, że będzie musiała wrócić do pierwszej instancyi. W ostatnich dniach Gladstone przeprowadził poprawkę, która szanownym lordom rybią krew rozgrzeje gniewem, mianowicie według tej poprawki posłowie irlandzcy zasiadaliby w parlamencie angielskim z prawem głosu w sprawach ogólno-państwowych.

Tylko domyślać się można, ile trudów i zabiegów stary Gladstone zużyć musi dla utrzymania zgody zarówno w swojem stronnictwie, jak w gabinecie. Dość prawdopodobne wieści głoszą, że obecnie toczy on walkę z ministrem spraw zewnętrznych, Rosberym, w dwu kwestyach—egipskiej i syamskiej. Młody kedyw, odwiedziwszy sułtana w Konstantynopolu, miał mu przedstawić konieczność zażądania od Anglii, ażeby ta wycofała swoje wojska z Egiptu i przestała gwałcić jego prawa zwierzchnicze. Abbas nienawidzi anglików i ich gospodarki w jego ojczyznie, życie jeszcze nie ochłodziło w nim ognia patryotycznego i marzeń o niepodległości kraju, o ile więc może, działa w tym kierunku. Prasa angielska, zwęszywszy tropy nieprzyjaciela, podniosła krzyk zgrozy przeciw niewiernemu wasalowi. Gladstone osobiście nie sympatyzuje z polityką gwałtu, wykonywanego w Egipcie, dla lorda zaś Rosbery jest ona ewangelią. Stąd starcie między nimi. Druga sprawa natrafia również na podobną różnicę zdań. Francuzi rozpoczęli formalną wojnę w Syamie. Jak oni twierdzą, zostali do niej zmuszeni zaczepką syamczyków, jak znowu ci utrzymują, pancerniki francuskie przekroczyły zastrzeżoną granicę, a powstrzymane zaczęły ostrzeliwać ich forty. I tu Gladstone chciałby nie mieszać się do sporu zbyt energicznie, tymczasem minister spraw zewnętrznych radby wziąć w opiekę syamczyków i strzedz angielskiej „sfery interesów.“ Ciekawy przytem widok okazuje prasa francuska: podczas gdy dawniej zniesławiała Ferrego za politykę kolonialną i Tonkin, posądzając go nawet o zmowę z Bismarkiem, teraz popycha rząd do wojny z Syamem i krzyczy: niech żyje Ferry! Szkoda, że nie żyje, miałby wielką satysfakcyę.

Skupczyna serbska rozpoczęła sąd nad ministrami gabinetu liberalnego. Stawili się oni przed nią osobiście. Akt oskarżenia zarzuca im głównie, że fałszowali wybory, unieważniając mandaty posłów radykalnych, że samowolnie zawarli niekorzystny traktat handlowy z Anglią itd. Obwinieni odpierają wszystkie te oskarżenia. Rezultat dotychczas niewiadomy.

Jedni powiadają, że w Brazylii szerzy się rewolucya, inni, że już panuje spokój. Obie strony mają zapewnioną słuszność, gdyż to, co w Brazylii uchodzi za spokój, w Europie nazywałoby się rewolucyą.

LITERATURA I SZTUKA.

ZBAWCY LITERATURY.

IV.

Tych, co nie chcą dreptać utartą ścieżyną i wolą bodaj iść samotnie, niż wlec się za armią literackich Tersytów i Falstafów, spotyka stale zarzut jątrzenia i czerwoności. Na takie odosobnienie raźno przystajemy, bez

8)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Gunnar i Jorina pleli zielsko. Ojciec był w Aase na jakiemś zgromadzeniu, powrotu jego nie oczekiwano przed obiadem. Praca była lekka, a dzień piękny; tak im było wesoło, że się nie poznawali.

Słońce pieściło ich plecy, łaskotało szyje, cały świat był jasny i ciepły. O ile zwykle wszystko wokoło brzydkiem się wydawało, o tyle dziś wszystko było piękne. Z łąki i bagien unosiły się zapachy takie miłe a słodkie, że ogarnęło ich uczucie jakiegoś rozkosznego rozleniwienia. Byli wzajem dla siebie uprzejmi, gawędzili. Jorina uczyła Gunnara nowej mowy.

W mowie tej „jedewa“ znaczyło „tak“; „nedewei“ — „nie.“ „Hedewaadedewe“ oznaczało „Haawe.“ Gunnar wprawiał się, próbował, a wkrótce potrafił w ten sposób składać całe zdania. Cieszył się tem niezmiernie.

Teraz więc będą mogli mówić do siebie, co tylko zechcą, nawet w obecności ojca! Lecz Jorina obawiała się, że ojciec zapytać może, co też do siebie mówią, „a trudno przecież tak skłamać, żeby w kłamstwie był sens.“ To szczera prawda. O tem Gunnar nie pomyślał.

Klęczał, wyjmując za pomocą drewnianego kołka kamyki z ziemi.

— Gdyby to tak można było zrobić się niewidzialnym — rzekł.

Jorina grabiami zbierała gałęzie i żwir, wsypując je w wiadro, którem je wyrzucała.

— Tylko podziemne duchy mogą się czynić niewidzialnymi — odparła.

Wszczęli rozmowę o tych duchach podziemnych, o których Gunnar nic nie słyszał; robota szła powoli.

— Dlaczego te duchy mogą być niewidzialne, my zaś nie?

— Prawda, prawda. My ludzie, widzimy tylko czasem błędny ognik, ale i to nie zawsze.

— A widziałaś go kiedy?

— Tak, wieczorem, kiedy bardzo jest ciemno, krąży czasem tam na błotach heialandzkich.

— Dlaczegóż tam?

— Ma tam być ukryty skarb jakiś wielki — tak ludzie mówią. Matuś jednak w to nie wierzą. Myślą, że zamordowano i pochowano tam człowieka.

— Uf! Czyż zabici straszą?

— Tak, jeżeli nie wykryto mordercy.

Pracowali jakiś czas, cisi, rozmarzeni.

Czajka zawirowała, wołając: i-rch! i-rch! Tiu! tiu! — odpowiadała łyska. Pliszka skakała, świegocąc ponad ich głowami; grubodziób gadał i kiwał główką, siedząc na kamiennym wale. Powietrze było pełne dźwięków i poświstów. Ponad wszystkiem zaś górował szczebiot jaskółek, szalony i radosny, upajający i słodki.

— Kogo to mogli zamordować na tem błocie, gdzie straszy błędny ognik?

— Ha, tego nikt nie wie. Lecz matuś opowiedzieli mi raz coś, co wiedzą od starego Wikdoma z Ramstad-Träet. Razu pewnego przywędrowała tam wielka banda cyganów; w bandzie tej znajdowała się stara kobieta, bardzo stara, pomarszczona i wyżółkła, jak róg. Siedziała w kącie, na krześle i wzdychała ciężko; ach tak, tak!— mówiła; ach — tak — tak! Czegóż tak ciężko wzdychasz?—zapytała jakaś chłopka. O — odparła cyganka — głęboko odycha, kto wkrótce oddech ma stracić. — Tegoż wieczora cyganie oddalili się, ciągnąc po przez Heia. Nikt ich nie widział aż do następnego dnia. Poszli na północ, do gminy Neaskiej. Ale tej starej z nimi już nie było.

— Więc może to ona leży wśród bagien heialandzkich? Ale cyganie nie mogli jej

gniewu wzruszając nawet ramionami na pewnych sprawiedliwych mężów, którzy niniejsze uwagi o krytyce nazwali błotem, kalającem jedynie ręce oszczercy. Kto ma sam dobrą wolę, ten nie będzie podejrzewać u innych złej i zrozumie, że dzwonek starodawnych młynów, wzywający do zasypania świeżego ziarna, spełnia bądź co bądź robotę pożyteczną.

Kolor czerwony drażni nadęte pawie i już choćby z tego względu powinien być sympatycznym dla tego, komu jest przypisywany. Ale tu chodzi nie o sprawy osobiste i przeto zamiast junacko podnosić rzuconą sobie rękawicę, powiadamy wprost, że krytyka, pewną barwą jaskrawą napuszczona, jest krytyką złą. Wyjaśniając to, wyświetlimy zarazem swoje i naszem zdaniem, jedynie właściwie stanowisko.

Dusza ludzka przebywa teraz wiekopomny chrzest: staje się społeczną... Na wszystkich punktach wre zacięta walka z sobkostwem i ciasnotą zasad i popędów. Jest to łaźnia jeśli nie krwawa to w każdym razie bolesna. Ponieważ jesteśmy niewolnikami nazw i utartych wyrażeń, których bywa zawsze mniej niż przedmiotów i zjawisk, więc ową walkę nazywamy bojem z duchem mieszczaństwa. Stosujemy zbyt swobodnie i zbyt rozlegle gorzkie epitety, powstałe w wirze zapasów z wszechwładztwem pieniądza i wyzysku. Pod godłem zmiany formy produkcyi widnieje drugie, piękne hasło: *In hoc signo vinces*. Bojownicy tej idei lubią je narzucać artystom i poetom i dla ocenienia ich wytworzyli sobie odrębny żargon pełen takich określeń ujemnych, jak: burżuazyjny, liberalny, kapitalistyczny, kupiecki, giełdziarski itp. Pisarze, mający gotowy w zanadrzu plan przestroju społeczeństwa, okazują wzgardę i lekceważenie tym pracownikom literatury, co obdarzeni umysłem mniej dogmatycznym, nie stają odrazu pod pewnym sztandarem, albo w rzeczy samej stanąwszy pod nim swą myślą i chęciami, nie obwieszczają tego całemu światu i niewygrywają na swej lutni. Społecznicy radziby nawet wskazywać kierunek lotu poetom, w przekonaniu, że każde uchylenie się od niego jest błędem i dowodem małości. Nie wzierają do duszy, nie badają jej ukrytych dla powierzchownego oka tajników, sądzą, że chorągiew odsłania ją całą i całą streszcza i wskutek tego ważą się na estetyczne rozprawy i na całkowite rozbiory krytyczne.

Nie są to słowa *orationis pro domo*, bo niżej podpisany nie jest, krótko mówiąc, za przeszłością i chyba nigdy o to go nie posądzano.

Chodzi o usunięcie szkodliwych nieporozumień. W pewnej pracy wyczytałem niedawno, że *Samotni* Gerharda Hauptmana nie wytrzymują porównania z *Tkaczami*, albowiem pochodzą jeszcze z okresu „liberalnego mieszczaństwa.“ Jest to pusty frazes, bo obie sztuki różnią się tematami i co najwyżej stopniem autorskiej dojrzałości, ale są jednakowo świeże, prawdziwe i wstrząsające. Zarzucano też mieszczaństwo Prusowi i drobnomieszczańskie ideały Orzeszkowej. Takie podciąganie ludzi i utworów pod pewne klasy wypływa z logiki Prokrustowego łoża, utożsamia ono wolną twórczość z zawodem męża stanu, posła sejmowego, lub publicysty socyologa. Z jego winy również często dzieje się krzywda naturom szerokim, potężnym lub gorącym, jak z winy krytyki pomadkowej lub rzemieślniczej wkraczają na piedestały karły lub średniaki.

Krytyka nie może i niepowinna być wyrazem stronnictwa, bo indywidualność pisarza bywa bogatszą, bywa klawiaturą o tylu oktawach, że jej żadną miarą nie wyczerpią jego pragnienia społeczne. A cóż by należało powiedzieć o tych wielkich potomkach wojny o ludzką godność, jak Wiktor Hugo, Byron, Shelley, Heine o wszystkich wielkich romantykach, którzy jasno przyświecające nam prawdy znali zaledwie z mrzonek Saint-Simona i Fouriera? A co o filantropijnie czułostkowym Dickensie i naprawdę drobno-mieszczańskim *Adamie Bede* Elliota, o takimże *Hermanie i Dorotei* Goethego? Nieraz też, i to najzabawniejsza, dostają się im przydomki za to, że nie byli mędrsi o lat pięćdziesiąt lub więcej, które upłynęły... po ich śmierci.

Każdy probierz, w którem tkwi „kwestya“ dnia, musi być niezupełnym, niesłusznym i niedokładnym, już choćby dla tego że się zmienia jak księżyc, ma swoje nowie, pełnie i kwadry. Są idee wieczne, jak gwiazdy, są przemijające jak meteory, są przelotne, jak błędne ogniki na bagnisku. Literatura winna umieć je rozróżniać i wybierać trwalsze, bo to w jej istocie leży. Na zasadę „sztuki dla sztuki“ w sobie zakochanej, w siebie zapatrzonej i na resztę nieczułej, rzucono już nie jedną grudę ziemi, bo to trup na pół spruchniały. Ale zasada „sztuki dla nieśmiertelności“ płonie w sercu każdego autora i jawnie czy skrycie płonąć powinna, bo — musi, bo ktoby próbował dowodzić jej czczości — będzie obłudnym albo niepowołanym do tworzenia dzieł wielkich. Taka już jest natura talentu — kto wie może nieszczęsna — ale niewątpliwa. Owóż, kto zechce całe swoje natchnienie włożyć w kwestyę dnia, ten, że użyję cudnych słów autora *Odludków i poety*:“

„Nie przejdzie grobu sławą i umrze przy zgonie:

Lecz jak się rzekło, dusza ludzka przechodzi wiekopomny chrzest: staje się społeczną. Czyż więc nie grozi temu jej rozwojowi mniejsza wrażliwość na palące sprawy doby lub nawet epoki? I czy powtóre, krytyk ma pomijać zupełnie społeczną stronę utworu?

Na oba pytania znajdziemy odpowiedź w jednym fakcie. U podstawy wszelkich urządzeń i reform społecznych musi spoczywać — rozkaz moralny, miłość dla idei ogólno-ludzkiej. Zarówno człowiek życia powszedniego—zwyczajna komórka w ciele zbiorowem — jak i powieściopisarz lub poeta, musi ten poszept etyczny w sobie posiadać. Człowiek, który ze szkoły naszego stulecia wychodzi samolubem, skończonym leniwcem lub sybarytą i swojej cząstki pracy i ofiary i bólu dla ogólnego zbawienia nie złoży, jest — umysłowym chamem, choćby był w swojem przekonaniu najlepszym ojcem rodziny, czułym mężem, zapracowanym jak wół bratem. Z takich jednostek, którym nawet miano zwierząt gromadzkich nie powinno przysługiwać — składa się w naszym kraju większość. No, ale opinia chętnie nazywa ich ludźmi „porządnymi.“

Krytyka jednak nie jest opinią powszechną i jej bezeceństw dziedzicznych uprawiać nie może. Ona ma do czynienia z ludźmi, których do głosu i publicznej działalności upoważniać może jedynie wyjątkowa siła rozumu i uczucia. Kto pojmuje tylko tyle, co jego otoczenie, niech lepiej śpi pod ławą; kto czuje nie silniej od samego tłumu, niech trzyma język za zębami; kto ma tyle nowego do powiedzenia, co telefon lub telegraf, niech zostanie aparatem... Krytyka winna być wcieloną eko-

---

przecież zabić; wszakże spotkałaby ich za to kara?

— Cyganów nikt nie zna. Wuj Aasnaund powiada, że żywcem chowają takich, którzy im się sprzykrzyli...

Usłyszeli świst; to Serina wołała na obiad. Spojrzeli na siebie. Gunnar pobladł. Tak mało zrobili. Cóż powiedzą ojcu, gdy zapyta?

Oczekiwała ich radosna nowina: ojciec nie wrócił. Natomiast na miedzy, pomiędzy domem a stodołą rozłożyła się banda cyganów.

— O, to może i ojciec zapomni spytać o robotę! — cieszył się Gunnar.

Dobrzy to byli znajomi, ci cyganie.

Ten oto nizki, w niebieskiem ubraniu, o czarnych jak smoła kędziorach, o twarzy długiej, żółto-brunatnej, o oczach, które się tak dziwnie mrużyły i w które rzadko spojrzeć było można — to Tomasz, herszt bandy. Siedział, obijając jakąś beczkę blaszaną tak zamaszyście, że aż mu kutas skakał na rogatywce.

Reszta bandy zachowywała się spokojnie. Gundhilda, cyganka, siedziała na stołku, naprzeciw Tomasza, paląc fajkę; obok niej, na ziemi spoczywała młodsza, piegowata kobieta z pończochą w ręku. Wielki, czarny Olawes Didriksen, brat Gundhildy, wyciągnął się jak długi i próżnował; gromada dzieciaków biegała wokoło, bawiąc się i wyjąc z radości, jak stado wilczków.

Tomasz był grzebieniarzem i blacharzem, umiał wiązać łódki tkackie i robić wędki, zarabiał więc tyle, że obok tego, co wyżebrać zdołali żona jego i pozostali członkowie obozu, banda wyżyć mogła, nie kradnąc.

— To zaś, z wielu względów, jest najlepiej — twierdził Tomasz. Bo po pierwsze wójtowie są dzisiaj strasznie przebiegli, powtóre zaś Tomasz był bardzo uczonym i mądrym człowiekiem, który nie chciał, aby go przezywano złodziejem, aby ukochany jego syn, Carolus Magnus, miał się kiedy ojca wstydzić. A powie kto: „ojciec twój jest cyganem“ — to niech ma prawo podnieść głowę i odeprzeć słowami prawdy: „lecz ojciec mój jest uczciwym.“

Tomasz był dziwnym cyganem.

Czytał wszystkie dobre, stare księgi mądrości — a więc *Saxo Grammaticusa*, Olgera Danske, Karola Magnusa, nadto Biblię i Larse Linderotha i Kunda Spödervolla *). W domu poprawczym w Kristianssand został konfirmowanym, odznaczywszy się pokaźnemi wiadomościami z religii; myślano nawet o tem, żeby go ochrzcić, lecz zaniechano tego, ponieważ dużo danych składało się na przypuszczenie, iż Tomasz, jako dziecko, otrzymał już był chrzest gdzieś tam na północy, w Saterdalen. W domu poprawczym rozbudziła się w nim chęć do czytania i rozmyślań, od owego też czasu dużo czytywał i dużo rozmyślał, znajdując na długich swoich wędrówkach wiele rzeczy dziwnych.

Cygan Tomasz wiedział prawie o wszystkiem, zwłaszcza zaś znał wszystko, co było tajemnicze lub zagadkowe. Naukę o duchach podziemnych czyli o gnomach opierał na słowach, któremi w pierwszej księdze Mojżeszowej Adam mówi o Ewie: „to jest krew z mojej krwi i kość z mojej kości.“ Dlaczegóż tak mówi Adam? Dlatego, że już przedtem miał żonę, która jednak do innego, aniżeli on, należała gatunku. Bóg widział, że ci dwoje nie zgadzają się z sobą, strącił więc ją i dzieci jej do wnętrza ziemi, gdzie odtąd żyją, jako oddzielny ród. Było to przed grzechem pierworodnym; stąd wniosek, że duchy podziemne wolne są od grzechu. Dlatego też mogą być niewidzialne. Duchy te posiadają swoje kościoły i swoich księży; ponieważ jednak grzechów nie mają, więc wystarcza im stary Testament. Nowy nic ich nie obchodzi.

W biegu lat zdarzyło się dużo rzeczy dziwnych, nieprawdopodobnych, a wydawały się one jeszcze dziwniejsze, gdy mówił o nich cygan Tomasz.

Teraz jednak opadły go niezwykłe pokusy. Szło o syna ukochanego, o Carolusa Magnusa.

Syn ten odziedziczył po ojcu talent i geniusz, miał tedy zostać człowiekiem i koniec położyć żywotowi cygana. Dla wło-

*) Pietyści.

nomią i baczyć na to, ażeby nie zabierano czasu i sił czytelniczych na pustą zabawę, przelewanie z pustego w próżne, klepanie dawnych pacierzy, bałamucenie kłamliwą obserwacyą. Nie powinna znosić rzeczy banalnych, bo one zamulają piśmiennictwo i obniżają poziom umysłowy społeczeństwa. Ale przedewszystkiem jednego warunku powinna się domagać: ażeby pisarz swój ogół szanował, dla niego się poświęcał, nie obłagowywał go. Ze wstrętem mówi się zwykle o plagiatach, ale one doprawdy mniej szkodzą i mniej obrażają ideę zbiorową, niż pospolitość gustu w autorze, niż małość charakteru, niż próżność zastępująca ambicyę, niż tanie efekta, niż poddawanie myśli, że kartofel jest smaczną gruszką. Autor poważny i kapłański pali rzeczy nieudane, jak Aleksander Gierymski palił pierwsze swe obrazy, jak Guy de Maupassant pozwalał niszczyć pewne swe nowele, i nie pożałuje lat dwudziestu na jedno dzieło, jak Flaubert na *Kuszenie św. Antoniego*.

(D. n.).

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Wystawa hygieniczna.

Gdyby ktoś zapytał hipopotama, jakie są najzdrowotniejsze warunki życia? — otrzymałby odpowiedź: brodzić od rana do wieczora po bagnistych zaroślach i usnąć na błocie. Odpowiedź taka byłaby zupełnie słuszną, owa bowiem bestya stworzona jest do zasiedlania bagien.

Tworząc człowieka, natura nie przewidywała podobno, że los go zawrze w norach kamiennych, przesiąkniętych stęchlizną, inaczej nie dałaby mu płuc, żądnych czystego powietrza. Jak się tedy stało, że prawie połowa ludzkości stoczyła się w mury? Jest to zagadka, którą zaledwie daleka przyszłość rozstrzygnie. Być może, mędrzec jakiegoś czterdziestego stulecia, gdy miast już na lekarstwo nie zostanie, wyświetli i dowiedzie, że ludzkość musiała przebywać ów wiek *kamienny* półdzikiego stanu, ażeby wypracować dla następnych pokoleń wiedzę. Jest to prawdopodobne, ale nam, których kamienie gniotą a wyziewy trują, niezbyt przyjemnie być szczeblami do owych wysokich celów przyszłości. Zresztą wiele robi — kto musi.

Hygiena, pomimo przebąkiwań utopistów o innych warunkach otoczenia, ani marzy jeszcze o zmniejszaniu wielkości miast, owszem, słyszymy o budowie domów, mających przeszło dwadzieścia piętr i podobno wzniesionych według prawideł hygieny. To znaczy, że ze złego wybrano najmniejsze. Jedyną wskazówką, dającą pewną rękojmię, że miasta z czasem przekształcą się na wille i wsie, są coraz lepsze i rozmaitsze przyrządy do przenoszenia człowieka na pewną przestrzeń: koleje, tramwaje, welocypedy, balony z czasem dadzą możność budować domy otoczone ogrodami, a może wśród błoni i łanów. Jakiś profesor fizyologii z rana wyruszy z pługiem lub kosiarką w pole, a po południu, gwoli zrównoważenia sił fizycznych i umysłowych, zasiądzie w ustroniu z mikroskopem, albo przeczyta lekcyę o tem, jak szkodliwe mikroorganizmy niszczyć, a korzystne — krzewić.

Nim jednak ideały nasze lub utopistów, w rodzaju Morrisa, urzeczywistnią się, rozważmy choć owę łataninę, którą, w braku lepszej, nazywamy hygieną najlepszą.

Bardzo niedawno uczyła ona, ażeby ścian mieszkań, szczególnie szpitalów, nie farbować, nie oklejać papierami, ale poprostu przynajmniej raz do roku bielić wapnem, które najskuteczniej niszczy wszelkie zarazki szkodliwe. Dziś wymagania są inne. Najnowsze szpitale, szczególnie dla celów chirurgicznych, mają ściany, a nawet sufity pokryte farbą olejną, a to z zamiarem jaknajczęstszego mycia owych powierzchni kwasami. Bądźmy przekonani, że farba olejna przetrwa niedługo: jest to powłoka wcale nie idealna, bo organiczna, a więc dająca pokarm owym baccilom, które staramy się tępić. Drugi warunek dobrej szpitalnej izby odrzuca gzemsy i kąty; podobno w tych miejscach przedewszystkiem wyprawiają hece zarazki niesforne. Zamiast gzemsów i kątów widzimy zaokrąglone, wygładzone, a jeśli można, wypolerowane łuki.

Trzeci warunek: woda czysta, źródlana, a gdzie nie ma źródeł — filtrowana. Niestety, dotychczas nie umiemy sporządzić doskonałych filtrów! Głośny filtr Pasteura już ustępuje innym. Zresztą są uczeni, którzy dowodzą, że każdy filtr po trzech dniach użycia staje się gniazdem wszelkich zarazków, że nie ma innego sposobu, jak gotować wodę. Za to są inni, co mniemają, że gotowana woda niszcząc szkodliwe, niszczy i zdrowodajne żywioły. Pozostaje tedy, jak przed potopem, jedyna rzecz — źródła i strumyki szumiące.

Czwarty warunek: powietrze w miarę wilgotne i w miarę ogrzewane pożądanem jest otrzymywać, jeśli nie z wysokości choć stu metrów nad padołem płaczu, to przynajmniej z ogrodów. Wczoraj jeszcze, ogrzewając mieszkania, wierzyliśmy w kaloryfery, dziś dowodzimy, że one, zwykle ciasno, ciemno, mające ściany chropowate, służą za redutę dla zarazków, a więc powierzchnie kaloryferów powinne być szklane, a przynajmniej kaflowe z oknami. Powietrze, wchodzące do kaloryferów z zewnątrz, ma być cedzone. Pytanie: z czego zrobić sito? Prędsi do rozstrzygania kwestyj zawyrokowali, że wata jest dobrym materyałem; ostrożniejsi jednak dostrzegli, że powietrze, przechodząc przez takie sito, unosi z sobą strzępy włókien, które mkną do miejsc nieproszonych: do płuc chorych, gardła, oczu itd.

Koniec końcem przychodzimy do przekonania, że dla chorych najlepiej budować szpitale gdzieś na wzgórzu, za miastem, w lasku sosnowym.

Szkoły też lubią wieś. Koszary i teraz staramy się wznosić na miejscach otwartych po za obrębem miasta, a latem, kto może, ratuje się ucieczką z miasta na wieś. Słowem, ludzkość przeświadczyła się, że i fizycznie i moralnie cierpi od miast niemało.

Dlaczego — i moralnie? Człowiek wykształcony staje się moralniejszym, a przecież miasta kształcą ludzi. Zdawałoby się, że tak być powinno. Niestety, w przyrodzie istnieje chyba prawo, że na pewnej przestrzeni może mieszkać tylko określona liczba istot ludzkich; skoro się miarka przebierze — albo spadają bicze zarazy, albo zaczyna się zwyrodnienie. Zaraza jest straszną, ale ciche zwyrodnienie — gorsze. Pierwsza rwie ludzkość na strzępy, drugie powoli wysysa soki, ale bez ustanku,

---

częgów nastały złe czasy, gdy więc kto mógł wyżywić się w sposób przyzwoity, było to w każdym razie i lepiej i bezpieczniej. Najpierw Carolus był pastuchem u Simona Ramstada. Takie jednak objawiał uzdolnienie do książki i uczoności, że wziął go do siebie sam pastor Meier. I mając niespełna lat czternaście, chłopak stanął do konfirmacyi.

Pastor chciał zrobić zeń coś wielkiego. Wiedział jednak, że w kraju przeszkodą do karyery będzie mu rodzina, postanowił tedy wykształcić Carolusa na misyonarza i wysłać go do ziemi zulusów. Zaczął go więc obznajamiać z Biblią i historyą kościoła. Chłopak nie miał jednak ani cierpliwości, ani wytrwałości do nauki: zamiarem i marzeniem jego było, dorosłszy, wypłynąć na morze. Powrócił do Simona Ramstada, że zaś ten już go nie potrzebował, więc co z chłopcem począć?

A tu towarzyszka jego, Gunhilda, wpadła na świetny pomysł: trzeba spróbować szczęścia u Enocha Haawe!

Enoch był świętym: jeżeli postanowił żyć wedle Pisma, nie odmówi.

XII.

Zapadał zmierzch. Enoch siedział przy stole — jadł. Zaczęli wchodzić cyganie, jeden za drugim, pozdrawiając go i sunąc w kąt, pod piec. Ostatni wszedł Tomasz.

Wzrostu był niskiego, budowy delikatnej, chód i ruchy miał miękkie i niedbałe, jak dziki, który ciężkiej pracy nie zna. Zdawało się, jakoby bawił się swoimi członkami, jakoby, chodząc, składał je tu i tam, gdzie tylko zechciał; mała głowa kołysała się na chudej, brunatnej, naprzód wysuniętej szyi, tuląc się niby w pieszczocie, już to do jednego, już do drugiego ramienia. Twarz, w gruncie rzeczy dobroduszna, miała jednak wyraz cygański, jakieś rysy przebiegłe, trochę urwisowskie, ufności niebudzące, a szybko i łatwo przechodzące z obłudnej powagi w dziką wesołość. Gdy jednak Tomasz rozmawiał z dobrymi ludźmi, wyglądał uroczyście, a i mowa jego bywała natenczas uroczystą.

Teraz siadł sobie na krześle, pod piecem i tonem uroczystym jął rozprawiać w długich zdaniach. Do czego właściwie zdążał, trudno było odgadnąć. Głos miał miękki — podobnie jak i ruchy — o niesłychanie wysokiej skali; głos ten podnosił się i opadał wskutek niezwykłej jakiejś modulacyi.

Enoch zbywał go półsłówkami, nie lubił cyganów. Byli oni nie tacy, jak zwykli ludzie. Zewnętrznie i wewnętrznie mieli w sobie coś, co było nieznośnem, coś urwisowskiego i ślizkiego, coś brunatnego i gładkiego, coś z natury robaka i z natury węgorza, poprostu coś dyabelskiego. Nie wyszedł z nich żaden dźwięk uczciwy, żadne słowo prawdy; wszystko było w nich fałszem, kłamstwem i podstępem. Nadto trzymała ich się jakaś woń przykra, woń wstrętnych, zwierzęcych chuci i grzechów. Tomasz, co prawda, nie był jeszcze najgorszym, lecz z tegoż gatunku. Czasem Enoch wprost sobie myślał, że cyganie duszy chyba nie mają; że nie są to ludzie, lecz zwierzęta, małpy i lisy pod postacią ludzką, pół-dzieci, pół-zwierzęta ze świata mroków. I nie mówili nawet, jak zwykli ludzie; poznaje się ich, skoro tylko usta otworzą. Mieli w głosie jakieś dźwięki niepewne, ślizkie, zupełnie odrębne, a już to samo przejmowało człowieka niechęcią i wstrętem.

Po wielu słodkich słowach, po niesłychanie złożonych, zawikłanych omówieniach i wykrętach, Tomasz wykrztusił nareszcie, czego dla Carolusa swego pragnął; chłopak nie miał głowy do tej wysokiej uczoności, którą wszczepiał mu pastor; w pokorze ducha swego nigdy ku takim wyżynom zdążać nie śmiał, natomiast co wieczór na klęczkach modli się, aby dostać się do takiego czcigodnego i dobrego sługi Pana, jak Enoch. Chce się bowiem nauczyć, jak ziemię uprawiać i na chleb pracować w pocie czoła, według przykazań bożych.

A potem przemówiła Gunhilda. Deszczem i gradem spadły górnolotne słowa, słowa błogosławieństwa i pochwały, już to na Enocha, już na chłopca, a głos jej podnosił się, stając się coraz żywszym, a przesada wzmagała się, rosnąc w siłę...

a przytem soki fizyczne i moralne. Możemy nie wierzyć Lombrosowi, że istnieją typy zbrodniarzy, jednak musimy przyznać, że zwyrodnienie fizyczne obniża stopę moralność, a przynajmniej czyni człowieka—co najmniej—biernym, nieczułym.

Uciekajmy więc, kto może, z miasta, przynajmniej latem. Uciekamy też, ale po co? Szukanie zdrowia i odrodzenia przeistoczyło się na modę... a więc wszystkie antihygieniczne warunki przenosimy po za miasto: skupione domy, gorsety, ciasne obuwia, spacery w obrębie jakiegoś placyku itd.

Zresztą mądrość literacka pobudza ludzkość do złych czynów. Któż z nas nie czytał: „Była to istota o wdzięcznych ruchach, wiotkiej kibici, jej nóżka prawie dziecięca dowodziła szlachetności pochodzenia itd.“ Dziwnem jest zaiste, jak pewne zboczenia i zwyrodnienia mogą stać się ideałami. Pewne pokolenie istot od kilkuset lat zaszywało stopy w skórę wołu, a ręce w skórę baranią, używało też owych kończyn z wielką oszczędnością, nie dziw więc, że one jako przedmioty małej wagi zaczęły zanikać. Zanik stał się ideałem. Kibić licha, słaba, nieumiejąca nawet nosić niemowlęcia, a przynajmniej niedająca rozwijać się zarodkowi należycie — jest przedmiotem chwały! Czyż warto po tem mówić o hygienie? Wszystkie nasze rozprawy o niej i wystawy są tylko przebłyskami przyszłych lepszych czasów.

Z nieżmiernej ilości przedmiotów na wystawie hygienicznej teraźniejszej przynajmniej dziewięć dziesiątych nie ma zupełnie, albo ma w małym stopniu styczność z hygieną; rzeczywiście hygienicznych widzimy zaledwie kilka. Tak książę Lwów wzniósł ładny, czysty domek dla chorych, zarząd zaś inżenierów wojennych — barak drewniany, u góry półkolisty, jasny, zdrowy. Oba te budynki nawet na wystawie są otoczone drzewkami sadzonemi na prędce: instynkt ostrzegł budowniczych, że pani Hygeja nie lubi mieszkać na bruku. P. Wysocki uszył obuwie lekkie, obszerne, juści bez korków i mające zupełną formę stopy, a nie więzienia dla nóg. Za to fabryka fińskich kafli okazuje piece godne pochwały za artyzm, ale nie za hygienę. Są to przedmioty zbytku, nie potrzeby, a wreszcie żłobienia i wypukłości na ich powierzchni tworzą siedliska dla kurzu.

Stacye lecznicze: kaukazkie, buskie, druskienickie itd. dały produkty dobyte z ich źródeł. Juliusz Kaźmierski (z Warszawy) umie miażdżyć na proch wszelkie aptekarskie specyały, Urbanowicz i Różycki (Warszawa) pokazują materyały apteczne i wyroby swej fabryki — środków opatrunkowych, Bartkiewicz (z Zapola) poleca szczególnie watę opatrunkową. Wszystko to, jak widzimy, ma bliższą styczność z lecznicą, niż z hygieną. Instytut szczepienia ospy przy szpitalu Dzieciątka Jezus przysłał tablice swej działalności (w Warszawie), plany, instrumenty. Kolej Wiedeńska — projekty kanalizacyi. Między zbiorem czasopism, traktujących o hygienie, widzimy *Zdrowie*. Pszczelarze (Warszawa) przedstawili miód rozmaitego rodzaju, a więc i w kształcie napoju. Ejdrygiewicz (Upita) wina z jagód i owoców. Warszawska fabryka gazowa — kreolin, proszek dla dezynfekcyi, lak, naftalinę itd. Doktór Daniłło (Petersburg) aparat elektro-techniczny, Makowski i Rychter — exsiccatory. Wreszcie widzimy warszawskie wodociągi i kanalizacyę i jeszcze wiele pięknych rzeczy. Atoli najpiękniejszą rzeczą wśród wszystkich piękności jest wystawa Towarzystwa tanich i bezpłatnych obiadów (Petersburg). Za kilka groszy, a niemający ich i darmo otrzymują pożywienie wcale smaczne—i to nie jest chimerą: z inicyatywy pani Wal, żony naczelnika miasta, istnieje takie towarzystwo. Jeśli ono nie jest żywiołem hygienicznym — w takim razie trudno zrozumieć, co się nazywa hygieną. Gdyby jeszcze parę takich towarzystw! Jedne np. tanich, czystych mieszkań, drugie— chociażby koszul. Dalszych przedmiotów wystawy dyletant może nie oglądać.

N. B.

Z POZNAŃSKIEGO.

16 lipca.

Wybory. — Rezultat ich. — Względne zwycięztwo.— Uwagi. — Piła i jej klęska.

Kampania wreszcie skończona — obliczamy już tylko korzyści, rachujemy poległych i ocieramy pot z czoła. Roboty było co niemiara, wrogów prawdziwych i urojonych, wielu należy się tedy odpoczynek dobrze zasłużony dla każdego przeciętnego poznańczyka, który chociaż trochę rozprawiał, wiecował, sprzeczał się i politykował, czyli nie ma u nas istoty, którejby się spoczynek po spełnieniu powyższych obowiązków obywatelskich nie należał. Wszystko politykowało i głosowało, a kto nie mógł sam, radził innym. To też przy urnie był natłok i chaos, pierwszy pochodził od nadmiernej ilości głosujących, drugi od wygłaszanych nazwisk kandydatów. Tych ostatnich bywa tutaj zwykle wcale umiarkowana ilość, tym razem zaś kandydatów do sprawowania funkcyj poselskich było aż nadto, a prawdziwy patryota niemiecki musiał baczyć, aby się nie pomylić co do osoby, na którą głos swój miał oddać. Dość powiedzieć, że w samym maleńkim Poznaniu dobijali się o mandat: Cegielski, Herse, Hoffmeyer, Morawski i dr. Szymański. Dwaj ostatni razem zebrali zaledwie 3,000 głosów. Takież rozbicie się głosów i na prowincyi — wszędzie nadmierna ilość kandydatów i stąd tak liczne wybory uzupełniające.

W pierwszej chwili wybrano: ks. Adama Czartoryskiego, ks. Zdzisława Czartoryskiego, dr. Zygmunta Dziembowskiego, ks. Jażdżewskiego, dr. Romana Komierowskiego, Józefa Kościelskiego, Karola Kubickiego, Hektora hr. Kwileckiego, ks. Ferdynanda Radziwiłła, Romana Jantę Połczyńskiego, Michała Kalksteina, Władysława Wolszlegiera — następnie zaś przy wyborach ściślejszych Stefana Cegielskiego, Leona Czarlińskiego, Różyckiego, dr. Rzepnikowskiego, Ludwika Ślaskiego, ks. dr. Wolszlegiera i majora Szmulę. Oto są nazwiska zwycięzców. Wskutek tego „Koło“ w parlamencie liczyć obecnie będzie 19 członków, tj. o 2 więcej, aniżeli dotychczas.

Trudno zaprzeczyć, że prowincya nasza zwyciężyła — atoli godzi się zwrócić uwagę na kilka szczegółów, które zwycięzcy pogardliwem pomijają milczeniem. Oto przedewszystkiem pojawiły się u nas systematycznie stawiano kandydatury posłów socyalistycznych, a każda zyskiwała duże poparcie, czego przedtem nie bywało. Dalej wśród wybranych posłów naszych znalazło się za dużo księży, szlachty rodowej i klerykałów; wreszcie ujawnił się rozstrój dotychczasowej jednomyślności — o czem już pisałem. Rozłam ten powstał

Enoch wcale już nie słuchał. W myśli szukał jakiegoś słowa bożego lub wspaniałej cytaty, którąby mógł ich ogłuszyć a sobie zapewnić spokój; lecz nagle poczuł, że duch szepcze w jego sercu:

— To jest właściwie „dziecię Jezusowe.“ To jest ofiara, której Bóg od niego wymaga. Tej najgorszej rzeczy, tej największej goryczy, tego, co jest najcięższe dla krwi i ciała — tego od niego żąda Pan.

Podniósł się. Przyszedłszy do słowa, wyrzekł stanowczo i rubasznie:

— Bóg chce, abym dziecku temu pomógł. Wchodząc jednak w ten dom, musi się zastosować do jego zwyczajów, nawyknąć do pracy i porządku; lenistwa, podobnie jak innych cygańskich praktyk, znać nie chcę; jeżeli zgodzi się na te warunki, przyślij go do mnie...

Spiesznie wyszedł. Cyganie posypali za nim grad słów dziękczynnych i pochlebstw, że aż wstręt było słuchać.

W dwa dni później przyszli Tomasz i Gunhilda z Carolusem.

Był to chłopak mały, chudy, cienki, o drobniutkich, ciemnych, niespokojnych oczach, o ruchach i minach szybkich, gwałtownych, lekki, gibki, jak pajac. Gdy szedł, zdawało się, że nie ma wagi; rodzicom nie umiał dotrzymać kroku; postępowali dla niego za wolno. Ale na tej małej, okrągłej, brunatnej twarzyczce malowała się taka powaga i taki wyraz uroczysty, że aż śmiech brał; był to cygan Tomasz — w miniaturze. A jakie miał zachowanie, jaki mądry sposób mówienia — niby dorosły. Zupełnie do innych dzieci był niepodobnym. Lecz zdrów był z pewnością. Znać było, że wzrósł na swobodzie, jak ptak lub zwierzę; na krew jego złożyły się powietrze i słońce wielu pokoleń; żywym był, jak żmija. Obok Carolusa Gunnar wyglądał poprostu blado, mimo że był pełniejszy i barczystszy.

Uroczyście pozdrowił Annę i Enocha, jako swoich „nowych rodziców.“ Potem przemówił cygan Tomasz, a w końcu Gunhilda. Nieskończoną ilość napomnień i nieskończona ilość pochwał, wypowiedziano na cześć „tych pobożnych i zacnie urodzonych ludzi.“ Małe, czarne oczki iskrzyły się i kłuły. Około ust igrał przez cały czas ów rys cygański: urwisowski, podstępny uśmiech, siłą woli poskramiany. Przemowę zakończono kilku słowami w języku cygańskim.

Cyganie oddalili się z błogosławieństwami, modlitwami i pełnymi workami, Enoch zaś uczuł, że nowe zadanie, które obecnie otrzymał, zupełnie mu siły przywróciło.

Widać było, że Bóg mu sprzyja. Carolus sprawował się grzecznie i posłusznie; mógł być wzorem dla Gunnara.

Z Gunnarem zaszło bowiem coś dziwnego. On, który dawniej bywał taki pracowity i dobry — w ciągu zimy odmienił się zupełnie. Na każdym kroku objawiał upór, złą wolę, niechęć, wstręt, prawie nienawiść; chodził zadąsany i mrukliwy. Kto to zrozumie? To chyba dyabeł podnosił się w chłopcu, gdy czuł bliskość Boga.

Carolus—to zupełnie co innego. Wszystko robił chętnie, bez trudu, a jakie prędkie i dobre dawał odpowiedzi! A jakie stawiał pytania, jak to umiał rozprawiać o sprawach duchownych!

Chęci do pracy nie miał jeszcze; najlepiej lubił paść bydło, chodzić z posyłkami lub spełniać inne drobne czynności. Ale tu właśnie miał się uczyć pracy, tu chęci do niej miał nabrać. Enoch modlił się o mądrość i cierpliwość, któreby mu dozwoliły dokonać tego trudnego dzieła, wyplenić z natury chłopca wszystko, co było w niej lenistwem i szaleństwem, uczynić zeń nowego człowieka, co więcej — dziecię boże. Z początku nie śmiał być surowym wobec Carolusa. Należało postępować zwolna. Gunnara wprzęgnie się więcej do pracy, a potem zobaczymy, czy nie obudzi się w Carolusie ambicya i czy da się zawstydzać młodszemu towarzyszowi.

(D. c. n.)

z powodu niezadowolenia pewnej warstwy ludności z dotychczasowej polityki „Koła,“ które trochę za wiele nauczyło się kłaniać, a zmniejszyło swą pracowitość.

Względne zwycięztwo, któreśmy nad niemcami odnieśli, objaśnia się tem, iż rząd, chcąc uzyskać większość dla projektu wojskowego, powiedział sobie, że wszystko mu jedno, jakich będzie miał posłów, byleby mu byli powolni. Dlatego też władze polityczne nie stawiały przeszkód naszym kandydatom, którzy już sobie wyrobili dobre imię t. zw. przedpokojowców. Rezultat potwierdza to obliczenie, gdyż właśnie dowiadujemy się, że „Koło“ los projektu wojskowego rozstrzygnęło na korzyść rządu i to całkiem bezinteresownie.

Piła, o której już tyle się pisało i czytało, nie zeszła dotąd z porządku dziennego. Studnia, tak niefortunnie wiercona, już wprawdzie zamknięta, lecz na tem jeszcze nie koniec. Domy, które w pierwszej chwili obrysowały się, już niemal zburzone, lub przez pułk gdańskich pionierów rozsadzone dynamitem. Dotychczasowe szkody wynoszą około półtora miliona marek, lecz to jeszcze nie koniec, gdyż obniżanie się terenu nie ustało, lecz zwolna postępuje dalej. Domy, które dziś są nienaruszone i żadnych szczelin nie posiadają, muszą być zniesione. Klęska ta wyłącznie, jak się zdaje, dotknie tylko osoby prywatne, gdyż rząd obiecujący w pierwszej chwili bardzo wiele, następnie się cofa i rękę starannie po za siebie chowa. Więc biedne miasto i jeszcze biedniejsi mieszkańcy!

t. z.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

IV.

New York, 6 czerwca.

U nas, jeżeli ktoś wybiera się w podróż, bierze gazetę do ręki i przegląda pomieszczony na ostatniej stronicy rozkład kolei. Czynność ta w Ameryce jest bardziej złożoną, tutejsze stosunki ekonomiczne stargały naszą prostotę. Nadaremnie poszukiwalibyśmy niemieckich *Fahrplanów*. Nieobecność tego rodzaju podręczników kolejowych pochodzi między innemi stąd, że towarzystwa zmieniają nieustannie rozkład jazdy stosownie do wymagań życia, a wszelki przewodnik ogólny, zanimby wyszedł z pod prasy, byłby już przestarzałym. Niemało też przyczynia się do tego decentralizacya i współzawodnictwo. A zatem nie pozostaje nic innego, jak osobiście udać się na odpowiedni dworzec i tam u źródła zasięgnąć języka, tj. poprosić o książeczkę z rozkładem, udzielaną bezpłatnie. Nie trzeba zresztą chodzić tak daleko. Prawie na każdej ulicy znajduje się jakiś kantor sprzedaży biletów. Dość tam zajść i z szafki bez pytania wyjąć potrzebne rozkłady — wolno ich zabrać, ile tylko ktoś zechce.

* * *

Ilekroć wchodzę do kolei miejskiej, a bywa to stale około 5—7 godziny wieczorem, zawsze spostrzegam wszystkich pasażerów z gazetami w ręku. Młode amerykanki siedzą z olbrzymiemi płachtami zadrukowanego papieru, z po za których nie widać twarzy. Na platformie wagonu, z braku miejsca w środku, tłoczą się jadący; kolej pędzi, a oni oparci o cienką poręcz, nie odrywają oka od dzienników. To samo oglądam na parostatkach. Doszło do tego, że nie mogę sobie przedstawić jadącego amerykanina inaczej, jak z olbrzymią gazetą.

Brooklyn, N. Y., 7 czerwca.

Whisker!, tem przezwiskiem zostałem dzisiaj obrzucony przez gromadę malców, kiedy przed jakąś knajpą w mroku nocnym oczekiwałem na towarzysza, który poszedł rozpytać się o drogę. Niebawem zostałem otoczony przez kilkunastu smarkaczów, z których jeden stanął naprzeciwko, mrugnął okiem i przekrzywił się. Towarzysz mój, wyszedłszy, uznał za najstosowniejsze, abyśmy czemprędzej się oddalili. Później wyznał, iż obawiał się gradu kamieni ze strony malców.

Ktoś rzekł, że demokracye odznaczają się nietolerancyą i konserwatyzmem. W pewnej mierze zdanie to jest słusznem. Nie wiem, skąd powstało wysokie mniemanie o oryginalności amerykanina. Chyba nie ma nic monotonniejszego! Ubiór, umeblowanie, tryb życia są niewolniczo te same na całej przestrzeni Związku. Ten sam twardy, czarny kapelusz w chłodnych porach roku, tego samego fasonu słomiany podczas skwarów letnich, tego samego stylu meble — jeżeli jest różnica, to tylko w gatunku! I inaczej być nie może tam, gdzie szablon fabryczny wszystko porwał w swoje uściski i zdusił oryginalność drobnego warsztatu; gdzie nawet fotele posiadają, jak u nas buty, swoje numery, tak iż kiedy wierzch się zepsuje, żąda się od przedsiębiorcy przysłania pewnego numeru. Nikt, chyba w podeszłym wieku, nie nosi zarostu na twarzy. Wszelkie przekroczenia opinia publiczna prześladuje, a wykonawcami jej jest podrastająca generacya. Chińczycy, obecnie żydzi, padają ofiarą tej nietolerancyi. Pierwszym *loafers* — ulicznicy, wobec których malcy paryscy są skromną trzódką, obcinają na ulicy warkocze, chyba że zagrożony wykupi się, drugich — ciągną niekiedy za brodę. Posiadający zarost bywa na niektórych ulicach narażony na to, że prześladować go będą przezwiskiem *whiskera* — „kudłacz“; a niekiedy ktoś podejdzie i pociągnie za brodę. Pierwszą rzeczą ze strony każdego europejczyka, który na stałe chce się osiedlić w czysto amerykańskiej dzielnicy, jest przybrać swoją osobę według miejscowych wzorów, a zatem kupić sobie taki kapelusz, jak inni noszą, odziać swoją córeczkę w długą, niby mnisią sukienkę, tak iż maleństwu wciąż się nóżki plączą o fałdy, oraz zgolić brodę. Od znajomych otrzymuję ciągle życzliwe rady rozstania się z tą częścią twarzy. Zwłaszcza wśród żydów obawa przed amerykanami staje się wprost śmieszną. Niewolniczo kopiują — mówię o młodszem pokoleniu — tutejsze zwyczaje, ażeby tylko nie poznano w nich *greanerów*, *popcornów*, *greenhornów*, istnieje bowiem cały słowniczek obelg względem cudzoziemca. Trudno wyrazić, ile pogardy mieści się w obeldze *whisker*, rzuconej brodatemu cudzoziemcowi, albo w *greener'ze*, kiedy przybysz sam niesie swój tłumoczek! Ponieważ amerykanin nigdy pono nie przejdzie ulicy, prócz miejsc na to przeznaczonych, przeto żaden nowy obywatel, semickiego pochodzenia, który tylko co przybył z Brześcia lub Supraśla, tego nie uczyni; yankee nie zdejmuje kapelusza w sklepie, i przybysz tego nie zrobi...

Prasa miejscowa usprawiedliwiała ongi nieene napaści na chińczyków tem, iż ludność jest przeciwko nim oburzona, ponieważ swoją konkurencyą podkopują dobrobyt robotników. Istotnym jednak powodem była nietolerancya: przybysz ośmielił się mieć inne rysy twarzy, nosi warkocz i odmienny strój! Jestem pewny, że gdyby syn nieba przywdział ubiór miejscowy, obciął warkocz i włożył amerykański kapelusz, zajadłość byłaby o połowę mniejszą.

New York, 8 czerwca.

Mam przed sobą stosy rozkładów jazdy, nietylko te, które mi są potrzebne, ale wszystkie, jakie dostać zdołałem. Rzecz zaisto warta studyów. Wiele z pośród nich posiada format olbrzymiego stołu, kiedy książeczka zostanie rozłożoną. Po jednej stronie tej płachty pomieszczono tabliczki z czasem odejścia pociągów, po drugiej zwykle wielką mapę tej okolicy, przez jaką przebiegają linie danego towarzystwa. Pomiędzy tablicami jazdy plączą się wiadomości o miejscowościach po drodze, rysunki piękniejszych krajobrazów. Teraz, kiedy Chicago jest na języku u każdego, w rozkładach jazdy znajdujemy plany tego miasta, widoki wystawy z lotu ptaka itd. Elegancya tych wydawnictw jest jeszcze większą, kiedy idzie o specyalne, pospieszne pociągi. Istnieją całe książeczki, poświęcone opisowi sławnego *Flyera*, kursującego od kilku tygodni pomiędzy New Yorkiem a Chicago. Mnóstwo rysunków przedstawia urządzenie owych sławnych wagonów sypialnych, stołowych, obserwacyjnych; plany podają rozkład siedzeń i stolików w wagonie, dzwonków, łaźni, opisy mówią o materyale, z jakiego zrobiono portyery, oparcia. Europa nie zna podobnej reklamy, czy też informacyi. Naturalnie, każda z linij rywalizujących wychwala siebie pod niebiosa. Jedna przypomina, że tylko ona w świecie posiada cztery tory na całej swojej przestrzeni; inna, że prowadzi przez najpiękniejsze okolice; trzecia, że kiedyś przed laty pierwsza wprowadziła wagony sypialne...

A jednak pomimo tej drobiazgowości katalogi kolejowe nie podają ceny biletów. Jest ona jednakowa dla tego samego pociągu — a zatem nie ma naszych klas! — ale nader różna dla odmiennych, których zwykle bywa bardzo wiele. Chcąc dowiedzieć się o cenie, trzeba znowu udawać się do agentury.

* * *

W podręcznikach liberalnej ekonomii można spotkać skargi na zaściankowość średniowiecznego rzemiosła. Członkowie jednego zawodu mieszkali przy sobie na tej samej ulicy, była ona dla nich całym światem. Nowoczesny rozwój ekonomiczny powołał do życia poniekąd analogiczne stosunki. W *Down townie* każdy fach usadowił się zwarcie. A zatem na kilku sąsiednich ulicach widzimy jedynie kantory fabryk, trudniących się wyrobem maszyn, a oko nadaremnie poszukiwałoby szyldów, mówiących o czem innem; gdzieindziej znowu jedynie hurtowe składy owoców, to znowu — mąki, lamp. Banki ześrodkowały się także przy sobie. Ale kiedy podstawą takiego średniowiecznego zaścianku cechowego była wzajemna solidarność, która wzięła rzemieślników w spójne ciało, tutaj wzajemna konkurencya jest siłą skupiającą. Jeden osiedla się przy innym, ponieważ każdy chce kontrolować współzawodników. Niby gromada psów zbiegła się i warczy na widok tego, że jakiś obywatel psiego rodu kość ogryza. Ale nie łudźmy się! Jest to przemijająca już faza wielkoprzemysłowego rozwoju, może z podobnej walki wyłoniła się ongi i organizacya cechowa. Współzawodniczące brytany wiążą się dziś w *trusty* i *poole*, konkurencyę pomiędzy sobą zamieniają na solidarne węszenie zysków i cena przedmiotów staje się jednaką we wszystkich kantorach.

Redakcye nie wyłamały się z pod ogólnej zasady. Wszystkie usadowiły się przy sobie, w pobliżu mostu, tam, gdzie codziennie kilkaset tysięcy ludzi przepływa w różne strony. *World* mieści się w 13-piętrowym domu, a dach w kształcie kopuły zdala świeci swoją pozłotą w promieniach słońca, wieczorem zaś żarzy się światłem elektrycznem. Ktoby miał jeszcze wątpliwość, że wydawanie pisma jest zwykłym *businessem*, pozbędzie się tego złudzenia, kiedy stanie na *Broadway*. Przed redakcyami wiszą i stoją olbrzymie szyldy, jak przed wielkanocnemi panoramami na Mokotowie. W hałaśliwych i efektownych nagłówkach podana jest treść numeru, który lada chwilę ukaże się z pod prasy. Inny napis obwieszcza, że tylu a tylu czytelni-

ków posiada gazeta, którzy swoją mnogością ręczą za dobroć drukowanego towaru. Możesz wejść do tej lub innej redakcyi. Korzystając z tej swobody, rozlokowałem się w redakcyi *Heralda*. Duża sala, przeznaczona na usługi publiczności; w niej znajduje się kilka okrągłych pulpitów, każdy na parę osób, kałamarze, pióra, papier listowy, koperty. Kto chce, wchodzi, pisze, przypuśćmy, list na przygotowanym papierze, kładzie go do leżącej koperty i wychodzi z listem, nie zdjąwszy nawet kapelusza. Na ścianach widzę jeszcze mokre kolumny ogłoszeń — numer wyjdzie zaledwie za kilka godzin, ale redakcya zawczasu wywiesiła ogłoszenia, dokoła których pcha się gromada poszukujących miejsca.

* * *

Około gmachu pocztowego, w górę *Brodway'u*, po lewej stronie ciągną się nieprzerwanie *offices*, trudniące się sprzedażą biletów kolejowych. Ta sama potrzeba, która zgromadziła różne fachy w tej samej okolicy, wywarła podobny wpływ i na ten proceder. Wszędzie widnieją reklamy, zapewniające, że tylko w danym kantorze można otrzymać bilety po najniższej cenie. Ogromne tablice z takiemi obietnicami wiszą na latarniach, stoją na chodniku. Z jednym znajomym, kilkuletnim mieszkańcem New Yorku, odbywamy wędrówkę po kantorach, który też taniej i na lepszych warunkach odda bilet do Chicago. Targujemy się, jak na Pociejowie, wreszcie dostajemy bilet za 14 dolarów, wówczas gdy na dworcu trzeba byłoby zapłacić 21. Pan agent zobowiązuje nas wprawdzie do pewnej formalności: w gruncie rzeczy nabywamy bilet powrotny za 28 dol., ale kantor daje nam czek na połowę tej sumy, wraz z resztą biletu oddamy go w Chicago i dostaniemy nadwyżkę z powrotem. Malwersacya ta odbywa się na wielką skalę jawnie. Towarzystwa kolejowe milczą, bo znajdują się w szponach agentów, bez których pośrednictwa nie zdołałyby się obyć.

New York, 9 czerwca.

Jestem na *Bowery*. Szeroka ulica z dwoma rzędami filarów, dźwigających na sobie pomosty kolei górnej. Krzyk i wrzawa, kurz nie do wytrzymania, brud nędzy, smród miejscami, że aż ciężko oddychać. Wzdłuż chodników stragany z jedzeniem, wystawione na skwerze: ostrygi, raki morskie, sery, buttersznity; ktoś podchodzi, bierze jadło, ze stojącej butelki pokrapia je cieczą podejrzanej czystości i woni. Wszędzie szynki, składy starzyzny, z okien górnych pięter wyglądają ogłoszenia, że za 15 centów na dobę można dostać pokój. Jesteśmy śród dzielnicy „Lumpenproletariatu.“ Ci, którzy utracili zdolność do wszelkiej systematycznej pracy, wydrwigrosze, którzy stoczyli się w przepaść ostatecznej nędzy i nie mogą się z niej wygrzebać, upadłe dziewczęta, z których haniebne rzemiosło starło wszelką świeżość — oto ludność, gnieżdżąca się w tych brudach. Podczas dnia śpi ona, wieczorem systematycznie czyta ogłoszenia w dziennikach o miejscach, choć nie idzie ich szukać — nie wierzy już, aby dostała jakieś stałe zajęcie, w nocy siedzi w szynkach. Teraz dopiero szósta godzina. Spotykam bosych, brudnych dzieciaków, obszarpanych mężczyzn z twarzą ospałą, apatyczną, bez śladu energii.

Ale i na *Bowery* poczya słodzi chwilę nędzy i człowiek w niej szuka wytchnienia. Sądzę, że tutaj czyni on to częściej, niż w salonach, gdzie paplające damy tak unoszą się nad sztuką i grzebią się w „subtelnościach“ tego lub innego utworu. Olbrzymia wystawa zadrukowanych arkuszów szarej ordynarnej bibuły, zapełnionej poezyą. „Po balu,“ „w mrokach nocy,“ „na Bowery“ — tak brzmią tytuły świstków. Ba! znalazłem się w obliczu poezyi, pełnej wyuzdania, swawoli, o jakiej tyle mówi Lombroso z całym sztabem mieszczańskich kryminologów. Naturalnie kupuję parę arkuszy. Pierwszy utwór opiewa naszą miejscowość. Młodzieniec opowiada, jak poszedł na *Bowery*, stracił tam zegarek, handlarz-krawiec go oszukał, a dziewczyna, która rzuciła mu się na szyję, wzamian za uściski w końcu ograbiła. Ale wyuzdania niema ani śladu! Przeciwnie, taka rzewna skarga, takie pragnienie przyjaźni, miłości, prawdy rozbrzmiewa ze strofek tej szarej bibuły, rozchwytywanej przez wyrzutków społeczeństwa! „Oh, napisz do swojej starej list, kiedyś znalazł się od niej tak daleko—czytamy w jednym utworze— życie jej ma więcej cienia, aniżeli światła słonecznego; modli się ona za ciebie, napisz więc do niej i zrób jej przyjemność, napisz list, napisz natychmiast.“ To znowu inny marzy o opuszczonej chatce rodzinnej, łzy mu stoją w oczach, serce bije nadzieją, że chyba mu przebaczą, kiedy zapuka do wrót. Albo weźmy piosenkę córeczki pijaka. Nieboga się skarży, że podczas czarnej nocy tuła się i szlocha samotna — matka umarła, a ojciec pije! Błaga Boga, aby ktoś z towarzystwa wstrzemięźliwości nawrócił ojca, byłaby wtedy tak szczęśliwą, pracowała na niego żebrząc, byleby tylko on ją ucałował... Ta szara bibuła jest istotną kopalnią złota!

Idę dalej. Tu i owdzie usadowiły się różne misye, nawracające grzeszników. Wchodzę do jednej. Olbrzymia, bezpłatna czytelnia. Pulpity do pisania. Na ścianach obrazy: marnotrawnego syna i inne tego rodzaju. O kilka domów dalej rezyduje armia zbawienia i nęci rozbitków do skosztowania jej narkotyków: wódkę zastąpiła marszami, upojenie alkoholiczne — ekstazą duszy zbiorowej. Jeden środek wart drugiego: tamten usypia ducha w trunku, ten — w myśli o zbawieniu. Nie wytwarzają one ludzi, walczących o swoje krzywdy, ale usiłują je wybić im z pamięci.

* * *

Nietylko fachy, ale i narody rozsiadły się w New Yorku swojemi dzielnicami. Istnieje tutaj dzielnica romańska, chińska, murzyńska, wreszcie żydowska. Ta ostatnia zajmuje nie mniejszą przestrzeń, niż Nalewki ze swoją okolicą. Niegdyś mieszkali tam irlandczycy, teraz żydzi wyrugowali ich zupełnie. Wypadło mi być w niej kilkakrotnie, w różnych porach dnia, a także w sobotę. Ubiory były świąteczne, ale sklepy otwarte i handel szedł w najlepsze. Młode pokolenie zamerykanizowało się: młodzież obojga płci nosi amerykańskie kapelusze, mężczyźni strzygą brodę, mówią tylko po angielsku, chociaż nieraz licho. Starsze trzyma się jeszcze dawnych zwyczajów i narzeka na bezbożność synów. Ale inne właściwości Nalewek występują w całej pełni, co więcej, jeszcze bujniej zakwitły na gruncie amerykańskim, gdzie policya nie wtrąca się, aby czysto utrzymano domy. Wszędzie w Ameryce beczki ze śmieciami stoją na chodniku, tutaj kompletnie się piętrzą. Można odgadnąć, co dzisiaj gotowano w tym lub innym domu, zapachy odurzają przechodnia. Brud przewyższa wszelkie pojęcie. A na ulicy rozstawiono stragany, wozy, tak iż przejść niepodobna. Wszędzie tłumy, wrzeszczące, giestykulujące— dniem i nocą. Wieczorem chodniki zamieniają się na salon: mężczyzni gwarzą, kobiety karmią niemowlęta, dzieci się bawią, młodzież oddycha miłością i parami spaceruje, wyrażając swoje uczucia w angielszczyźnie.

L. K.

ZWYRODNIENIE MĘŻCZYZNY.

(Rodzaj odwetu literackiego).

Napytał sobie biedy i sprowadził burzę na głowy wszystkich mężczyzn jeden z literatów niemieckich Maks Wolf. Napisał on książkę, w której niemiłosiernie ściąga kobietę z piedestału kapłanki obyczajów, wdzięku i ogniska domowego, uważając, ją za sprawczynię licznych klęsk społecznych. *Inde ira.* Nieszczęsny, nie przeczuwał, że przez to rozbudzi lwicę, która zdrzemnęła się w zamyśleniu nad przyczynami przerażających stosunków rodzinnych i tylu małżeństw nieszczęśliwych w naszych czasach. Popchnęła ją do czynu pełne oburzenia poczucie sprawiedliwości. „Cierpliwość i pobłażanie, jakie dotychczas zachowywaliśmy względem wad mężczyzny, dosięgły kresu wskutek tak niesłusznego napiętnowania charakteru niewieściego i przedstawienia zjawisk codziennych niektórych zwyrodniałych wyjątków. Zabieram głos w imieniu wszystkich kobiet, bo wiem, że wszystko, co rzeknę, znajdzie oddźwięk radosny w tysiącach nieszczęśliwych serc niewieścich.“ Tak oświadczyła pani Ella Haag i puściła w świat dziełko, w którem zupełnie swobodnie daje ujście uczuciu oburzenia z powodu obrażonej godności płci swojej *).

Od początku do końca wszystko tu tchnie rozgoryczeniem i chęcią odwetu.

Kiedy naprzykład Wolf zarzuca kobietom kokieteryę, żądzę podobania się i użycia — pani Haag natychmiast znajduje odpowiedź, że do tego wszystkiego zmuszają postępowaniem swojem sami mężczyzni, zaniedbując obowiązki rodzinne i większą część czasu spędzając po za domem na uciechach i rozrywkach — nieraz nieprzyzwoitych. Kiedy uskarża się na hołdowanie modzie i dziwaczność strojów niewieścich — autorka pyta: a któż dyktuje prawa mody? Toć Worth, Gerson i inni mężczyźni; zresztą, dodaje, dosyć rzucić okiem na mody męzkie — i nuż wyśmiewać podwatowania w surdutach, szerokie pantalony, pod któremi kryją się chwiejne, cienkie nóżki, monokle, różyczki w butonierkach itp. itp. Kiedy Wolf każdy przymilający się uśmiech pięknej kobiety mieni nowym szczeblem na drabinie zepsucia — pani Haag z gryzącą ironią wyraża zdziwienie, iż bystry wzrok jego nie dostrzega, jak w piwiarniach poważni małżonkowie obejmują kibić kelnerki, lub w domu, gdy żony nie ma, zamiast dzieci — całują piastunki... Kiedy wspomina o chorobach, przechodzących w dziedzictwie na kobiety, antagonistka jego z całą pewnością siebie stawia twierdzenie, iż to dziedzictwo nie po szanownych w znacznej części matkach, ale po niezbyt moralnych w większości ojcach. I tak dalej, i tak dalej — wciąż wet za wet, wciąż „moje na wierzchu.“

Z tem wszystkiem atoli, pominąwszy napuszoność stylu, gadulstwo i pewnego rodzaju wojowniczość, z jakiemi traktuje sprawę pani Haag — przyznać należy, że książka jej nie jest pozbawiona wartości. Wartość zaś tę głównie nadają jej trafna charakterystyka przyczyn upadku kobiety, oraz pełne prawdy zobrazowanie niedoli niewieściej w małżeństwach niedobranych.

Co do pierwszych autorka zwraca uwagę, że ktoby sobie zadał trud szczegółowego zbadania życia owych córek grzechu, niewątpliwie doszedłby do przekonania, że na tysiąc wypadków w dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu każda z nich tem, czem jest, stała się z winy mężczyzny. Uwiedziona, opuszczona, gwoli przyjemności chwilowej poświęcona na ofiarę, bez

*) *Die physische und sittliche Entartung des modernen Mannes.* Berlin, 1893, str. 83.

miłosierdzia zepchnięta w błoto... Każą jej podnieść się przez pracę. Ale jakże trudno w takich warunkach dostać zajęcie, zwłaszcza dla tej, która upadła! I za dzieciobójstwami widzi przedstawicieli płci mocniejszej. „Bo oni to, jak objaśnia, z istoty zdradzonej, zbezczeszczonej, uczynili morderczynię. Za ich to sprawą najświętsze uczucie serca kobiecego, wzniosła miłość macierzyńska, nieobca nawet zwierzętom drapieżnym, zamienia się na dziką nienawiść dla niemowlęcia.“ Świat jest niesłychanie niesprawiedliwym i stronnym, mężczyźnie chętnie przyznaje wolność nieograniczoną, kobietę zaś, dopuści się choćby najlżejszego obyczajowo uchybienia, piętnuje mianem upadłej. Warto przecież pomyśleć, że pobudki, które z drogi prawej sprowadzają kobietę, często, ba, zawsze są łatwiejsze do wybaczenia, niżeli te, jakiemi kieruje się mężczyzna, choćby już dla tego tylko, że kobieta zawsze jest uwiedzioną, a mężczyzna zawsze uwodzicielem.

Mówiąc o nieszczęśliwych małżeństwach, pani Haag powiada, że grzech męża często przez lata całe wije się wokoło świętego ogniska domowego, a żona nie przeczuwa go nawet. Wróble o nim śpiewają na dachu, szepcą o nim sługi przy studni, a pyszne z powabów swoich, jedna drugą stara się przewyższyć wspominaniem szczegółów pikantnych, jak to pan domu goni za niemi słowem i spojrzeniem. A pan ten obarczonemu sumieniu usiłuje ulżyć, coraz to nowe dla żony obmyślając udręczenia. Choćby potrzebowała jak najmniej, podług niego zawsze potrzebuje za dużo, gdyż chciałby oszczędnością jej pokryć mnożące się własne wydatki! O naglących potrzebach domowych żona nie śmie mówić często przez tygodnie całe, z dnia na dzień odkłada te kwestye drażliwe, a gdy już nie może inaczej — wybuch staje się nieuniknionym. Żadna przestępczyni nie znosi tyle, co biedna matka, która „wśród marnotrawstwa szalonego“ żąda pary trzewików dla jednego z dzieci! A jednak — gdy mąż należy do tak zwanych „proletaryuszów duchowych“ — ona musi dbać o honor domu i szczupłymi funduszami opędzać wszystko! Gdy minął dzień i wszystko w domu pogrążone jest we śnie, biedna tylko matka przy słabem świetle lampy czuwa sama jedna, pracując nad haftem, który za skąpe pieniądze sprzedać ma nadzieję. Ale mimo pracy i oszczędzania wyłazi wieczny niedobór. Dzień każdy nowe przynosi wydatki, to książki szkolne, to doktór i apteka, to się coś zbije w domu, to wreszcie buciki dla dzieci itp., a sobie przez lata całe niczego sprawić nie jest w stanie. Pan mąż tymczasem siedzi przy piwie, pali cygara i żatuje z kelnerką, a napiwki przez nią otrzymywane nieraz z ciężkiego kłopotu mogłyby wybawić żonę osamotnioną. Cóż dziwnego, że w takiem położeniu w duszy kobiety rodzi się gorycz nie do zniesienia? Mąż obrzydził jej dom, a jednak musi ona wytrwać w nim, znosić troski i ciężary, pielęgnować i wychowywać dorastające pokolenie.

Oto są obrazki wzięte z życia. Pani Haag poświęca je ludziom żonatym „aby, jak mówi, poznali w nich tego lub owego ze znajomych.“ Przytem, jakby dla osłodzenia pigułki, dodaje, że są i małżeństwa szczęśliwe, godne zazdrości, w których mężczyzna jest nietylko żywicielem, ale i duchową podporą swojej rodziny, w których dzieci, naśladując przykład rodziców, wyrastają w miłości, zgodzie i spełnianiu obowiązków. „Dla czego przecież, pyta, te postacie świetlane spotykają się tak rzadko, dlaczego mężczyźni sami czysty napój wyrywają sobie z ust i piją u bagnisk, dla czego?“

Ad. J. C.

PAMIĘTNIK.

Cholera.

Ile nam się zdaje, bieżące lato nie będzie wolne od niepokojów ze strony epidemii. Wybuchła ona i sroży się z nadzwyczajną zjadliwością w Arabii, gdzie naturalnie tułacza lub pielgrzymująca ludność roznosi ją na wszystkie strony. Jeżeli wierzyć mamy doniesieniom gazet, w Mekce padły już dziesiątki tysięcy ofiar, niepogrzebane trupy leżą stosami na placach, ulicach i drogach, a zaraza rozszerza się na wszystkie strony, nie spotykając żadnych tam i środków zapobiegawczych. W Europie cholera tu i owdzie daje groźne znaki swej obecności. Grasuje w Hiszpanii, Francyi, Anglii, Niemczech, Węgrzech, a w Rosyi obok miejscowości już dawniej zajętych, pojawiła się — jak stwierdzono urzędownie — w Moskwie i gubernii moskiewskiej. Natężenie jej w krajach europejskich jest słabsze, a rozwój miejscowy powolniejszy, dzięki najrozmaitszym sposobom tłumienia jej; ale za to przy niezmiernie ożywionych i ułatwionych komunikacyach możliwość szybkiego przerzucenia się jej w oddalone punkty — większa. Wypróbowana skuteczność pewnych sposobów ochronnych, doświadczenia osiągnięte w roku zeszłym oraz przewidywania na obecny pozwalają nam mniemać, że cholera, gdyby nawet zawitała do nas, znalazłaby społeczeństwo przygotowane do walki z nią. Mimo wszakże tej pewności należy pamiętać o zalecanych ostrożnościach zwłaszcza w obecnej porze, sprzyjającej tego rodzaju epidemiom. Chodzi głównie o to, ażeby lekceważeniem przepisów hygieny w warunkach życia i pokarmach nie wytwarzać gruntu, na którym cholera najłatwiej się szczepi i rozkrzewia. Niestety tę przestrogę zapamięta i mniej lub więcej spełni tylko ludność miast większych, bo co do prowincyonalnych a zwłaszcza pogrążonych w nędzy osad żydowskich — jak przekonywa sprawozdanie d-ra Tchórznickiego w *Zdrowiu* — byłoby dzieciństwem oddawać się jakiemukolwiek złudzeniu. Tam odwieczny brud wewnątrz domów i około nich pozostanie trwałym, pomimo najenergiczniejszych wysiłków władz lub komisyj sanitarnych. Doprawdy warto przeczytać ów opis, ażeby zobaczyć, z jakiem rozpaczliwem bohaterstwem ludność małomiejska walczy o swe nigdy niemyte podłogi, nieprzewietrzane podziemia i cuchnące przed domami kałuże. Zdawałoby się, że w nich tkwi jej szczęście, że gotowa za nie krew swoją przelać.

Spór bez końca.

Głośny spór między dyrektorem szkoły rzemiosł a dr. Natansonem o korzystanie z domu przy ulicy Składowej i funduszów publicznych na tę instytucyę przeznaczonych wszedł w nową fazę: p. Kühn bowiem z dotychczasowego lokalu ustąpił. Ale wynosząc się, przesłał d-rowi N. oświadczenie rejentalne, w którem powiada:

„1) Że dom przy ul. Składowej nr. 3 zbudowany został wyłącznie dla jego szkoły, przy pomocy jej uczniów i współpracowników; że wmyśl prawa nie wolno zmieniać przeznaczenia zapisów, ani też osoby (w danym razie instytucyi), na którą uczynione zostały owe zapisy, i że dlatego: w domu przy ulicy Składowej, z wyjątkiem szkoły Kühna (dla której dom specyalnie zbudowany), nie może mieścić się żaden inny zakład, bez względu na to, ktokolwiek byłby właścicielem hypotecznym owego domu.

2) Co się tyczy ruchomego majątku szkolnego, to ponieważ on tworzył się i urósł (nie licząc pracy K.) z ofiar w pieniądzach i naturze, z któremi zwracano się do Kühna i za które on składał podziękowania—ponieważ ofiary wszelkie dawane były bez zastrzeżeń, prosto dla jego szkoły; ponieważ majątek ów od r. 1882 pozostawał w zupełnem rozporządzeniu Kühna i jeśli w 1890/91 i 1891/92 r., za zgodzeniem się Kühna, robiącego chwilowe ustępstwo dla dobra, jak sądził, szkoły, służyła Natansonowi swoboda rozporządzania się owym majątkiem na przeciąg owego określonego terminu, to z początkiem lipca zeszłego 1892 r. majątek ów przeszedł znowu w zupełną Kühna rozporządzalność i dotąd tak pozostaje; ze względu na wszystko wyżej powiedziane Kühn, uważając ów majątek nie jako za swoją prywatną, ani tem bardziej nie jako za własność prywatną Natansona, ale za dobytek swojej szkoły, cały ten dobytek (opisany w oddzielnym inwentarzu, sporządzonym przy osobach znających dokładnie sprawę) pozostawia nienaruszonym na miejscu; wyprowadzając się zaś ze szkołą z domu nr. 3 przy ulicy Składowej i tym sposobem nie będąc w możności strzeżenia pozostawionego czasowo publicznego dobra, tj. szkolnego majątku, Kühn proponuje niniejszem Natansonowi, aby tenże, obejmując nadzór nad domem, w dniu 3 b. m. w sobotę, o godzinie 3-ej po południu, osobiście lub przez umocowaną do tego osobę przyjął nadzór nad całością i nienaruszalnością pozostawionego inwentarza do czasu, gdy co do tej publicznej kwestyi nastąpi decyzya ofiarodawców i protektorów szkoły, którzy dotąd nie wypowiedzieli jeszcze swego zdania; przyczem w razie nieprzyjęcia przez Natansona propozycyi, Kühn pozostawia sobie prawo zabezpieczyć to dobro publiczne w sposób, jakiby uznał za najbardziej odpowiedni.“

To znaczy, że spór nie został zakończony i przeciągnie się dalej. Rozbierając go w roku zeszłym, wykazaliśmy splątane nici tej sprawy i niemożliwość rozstrzygnięcia na drodze prawnej w sposób pożądany. I teraz więc powtarzamy, co powiedzieliśmy wówczas, że jedyną drogą przecięcia waśni i ubezpieczenia funduszów publicznych, które dziś pozostają zawieszone w powietrzu, byłby sąd polubowny, o którym mamy prawo domagać się nie dla kłótni prywatnej, ale w interesie dobra społecznego.

Kolonizacya żydowska.

Jak widać ze sprawozdań i czynności ludzi wtajemniczonych, idealny plan bar. Hirscha spotykał się początkowo z bardzo prozaicznem rozczarowaniem. Pierwsi wykonawcy jego woli byli poprostu oszustami, pierwsi obdarzeni przez niego koloniści — łotrami. Pełnomocnik Hirsza pułk. Goldsmith tak opowiada (według *Kuryera warsz.*) pierwotne dzieje osadnictwa w Argentynie: „Administrator dr. Joffe, człowiek słabego charakteru i nerwowy, szafował majątkiem Towarzystwa na wszystkie strony, a z kolonistów, kto tylko mógł, korzystał.

Przychodzi np. kolonista i mówi: Proszę o kołdrę. — Kołdrę? Dobrze. Masz cztery!

Lecz dr. Joffe był przynajmniej człowiekiem rzetelnym, uczciwym, reszta służby poprostu rabowała.

W Moses-ville było jeszcze gorzej. Tu panował we wszystkiem chaos nadzwyczajny. Po przybyciu G. do Buenos Ayres otrzymał on depeszę, że administracya kolonij ulotniła się z całą kasą; przyjechawszy na miejsce, zastał prawdziwą rewolucyę.

W Entre-Rios administrował wówczas Roth, który zdążył przed przybyciem G. roztrwonić miliony, nie osiedliwszy ani jednego emigranta i nie wystawiwszy ani jednego domu. Kontrakty, które Roth zawarł z przedsiębiorcami, były o tyle niewygodne, że trzeba je było unieważnić; wynikły trzy procesy, które przeszkadzały sprawie, lecz za to udało się uratować przynajmniej około trzykroć sto tysięcy rubli. W Maurycyi dzięki temu powstały domy trwałe zamiast chałup, których już wystawiono 15, przez przedsiębiorców Rotha.

Wogóle wszyscy — od kolonisty do Rotha — jedno tylko mieli hasło: grabież.

W samym zarządzie w Buenos-Ayres nic działo się lepiej; potrzeba było dwóch miesięcy czasu, ażeby doprowadzić księgi do porządku, aby się przekonać, co zrobiono, ile zostało majątku, a ile skradziono.“

Każdy człowiek, który chce coś zrobić, musi być optymistą, przynajmniej co do powodzenia swego przedsięwzięcia. Bez tej wiary będzie działał jak sparaliżowany. Otóż takim optymistą jest bar. Hirsch. Ile milionów stracił, ile doznał niewdzięczności i zawodów, on sam tylko wie, a może nawet on nie wie. Ale jeżeli w kolosalnej ofierze objawił się potężny charakter tego człowieka, to nie mniej okazał on swą wielkość w wytrwaniu. Mimo olbrzymich strat, mimo całej ohydy materyału emigracyjnego, nie cofnął się ani na krok i dalej prowadzi wiekopomne dzieło. Po wynalezieniu środków odczyszczania mętów napływu i utrwaleniu gruntu kolonizacyi, można już dziś spodziewać się, że ona nie rozwieje się jak mrzonka, lecz zapuściwszy głęboko korzenie, rosnąć będzie szybko a do historyi wejdzie jak fakt niezapomniany.

O teatrze.

P. H. Gliński sądzi, że u nas pisze się o teatrze za mało, a my sądzimy, że pisze się za wiele. Stąd też p. G. opracował obszerną (str. 200) książkę, która mu się wydała niezbędną, a nam się wydaje niepotrzebną. Nie możemy odmówić autorowi pracowitości: śledzi drobiazgowo rozwój teatrów polskich w Warszawie i Petersburgu, regestruje skrupulatnie repertuar każdego z nich, oblicza i grupuje przedstawienia, układa z nich tabliczki statystyczne, nie przeocza najmniejszej wzmianki o teatrze w *Kuryerach*, wykazuje między niemi sprzeczności lub ukryto sprężyny reklamy, wyrokuje samodzielnie o granych sztukach, polemizuje z recenzentami, poprawia opinię publiczności i krytyki; słowem pedantycznie zbiera i na czułych szalkach waży cały materyał dziejów teatru w zakresie ubiegłego roku, nie pomijając najniklejszych zdziebełek pyłu. Wszystko to niewątpliwie wymaga mozołu. Nie przeczymy dalej, że autor w tej lub owej kwestyi ma trafne zdanie, że tu i owdzie rzuci dobrą radę, ale czy z tym zasobem przedmiotowym i podmiotowym warto pisać książkę? Kto ją czytać będzie? Kilku aktorów i kilku literatów, niepodobna bowiem żądać od ogółu, zajmującego się literaturą, ażeby on jeszcze raz w wielkiej porcyi przeżuł to siano teatralne z nową osypką, którem go przez cały rok obficie karmiono. Byłoby takie żądanie tem niesłuszniejsze, że p. G. karcąc w innych stronność, sam nią grzeszy grubo. Czyni to zwłaszcza względem p. K. Zalewskiego, którego utwory i recenzye dają mu ustawicznie powód do lekceważenia a nawet szykany. Pierwsza może być objawem gustu, ale druga jest wyraźnem zdradzeniem się niechęci, mającej swe źródło po za granicami objektywnej krytyki. Jeżeli więc autor miał istotnie zamiar w sprawie teatralnej zająć stanowisko poważne i bezstronne, to zepchnął się sam z niego tendencyjnym atakiem na pisarza, któremu teatr zawdzięcza bardzo wiele i może nikomu więcej z żyjących. O tem należało pamiętać więcej, niż o tem, ile osób było na każdem przedstawieniu „Praw serca.“ Pozostawmy przygryzki, docinki, drwiny i posądzenia tym, którzy wprzódy targają ludzi zasłużonych za uszy, nim utrą sobie własne nosy. Krytyk poważny nie powinien zazdrościć nikomu warzynów takiej junakieryi. *P.*

Orzeczenie zasadnicze.

Przed kilku laty głośną była w Warszawie sprawa sukcesorów Pinkusa Lotego, którym sędzia pokoju zabrawszy 18,000 rs. do depozytu, pieniądze te roztrwonił. Poszkodowani, nie poprzestając na wyroku karzącym winnego osiedleniem na Syberyi, wystąpili z procesem do skarbu państwa o zwrot roztrwonionej sumy. W obu wszakże instancyach sprawę przegrali, gdyż obie kazały im poszukiwać strat na majątku skazanego. Od tych orzeczeń odwołali się oni do senatu, który nie podzielił poglądu sądów warszawskich i uznał odpowiedzialność skarbu z następujących zasad. Urzędnik jest pełnomocnikiem władzy państwowej, ona więc już z samego tego stosunku winna odpowiadać za jego czyny. Lotowie nie powierzyli swych pieniędzy sędziemu prywatnie i dobrowolnie, lecz musieli mu je oddać do depozytu z tytułu prawa. Że zaś on je roztrwonił, zamiast złożyć w Banku, naraził na stratę nie osoby prywatne, które niczem przeciw niemu zabezpieczyć się nie mogły, lecz swego mocodawcę, tj. rząd.

To wyjaśnienie senatu posiada wielką wagę nie ze względu na odzyskaną sumę, ale ze względu na ustaloną przez nią zasadę odpowiedzialności za szkody, wyrządzone przez urzędników w czynnościach przez prawo nakazanych.

Bankructwo.

Wywracanie się rozmaitych banków i „domów“ jest dziś w świecie zjawiskiem tak powszechnem, że dziwimy się tylko tym, które jeszcze istnieją. Nas to „krachy“ zwykle nie dotykają — bo jesteśmy zbyt słabo połączeni z wielkiem królestwem Mamona. Czasem jednakże i nam utonie jakaś garstka depozytów lub pożyczek premiowych, spłacanych ratami. Ten ostatni wypadek zaszedł świeżo skutkiem bankructwa „Rosyjskiego banku handlowego i komisowego“ w Petersburgu. Między jego prenumeratorami pożyczek powstał krzyk i lament. Podobno wszakże każdy kantor sprzedający papiery wartościowe na raty, obowiązany jest złożyć je w Banku państwa; podobno one nie ulegają włączeniu do masy upadłosciowej; podobno więc ich posiadacze zaliczkowi nie stracą swych pieniędzy. Kto zainteresowany w tej sprawie, niech się zwróci do *Gazety losowań*, która objawiła gotowość pośredniczenia.

SPRAWY EKONOMICZNE

KARTELE*).

Zapatrzonemu w znaczenie teoryi jako przewodniczki życia, dziwnem wydawać się musi ów zwrot, jaki podczas kilku ostatnich dziesiątków lat nastąpił w umysłach ekonomistów. Hasła wolnego handlu, posiadające jeszcze taką potęgę przed laty kilkunastu, zostały dzisiaj prawie powszechnie wyśmiane, a protekcyonizm wraz z cłami ochronnemi wdziera się coraz głębiej w życie gospodarcze. Niema najmniejszych znaków, które poparłyby różowe nadzieje wolnohandlowców. Zamiast teoretyków, którzy w swobodnej grze sił ekonomicznych widzieli alfę i omegę mądrości prawodawczej, wystąpili ludzie, głoszący niezbędność przymusowej organizacyi w łonie gospodarstwa prywatnego. Lassalle, podczas swego krótkiego okresu publicystycznego, z ironią wyrzekł, że ekonomia wyznacza państwu czynność jedynie nocnego stróża, ochraniającego własność mieszczańską od rzezimieszków. Dzisiejsi, zwłaszcza niemieccy przedstawiciele tej nauki, marzą o tem, aby ono podjęło się nałożenia hamulców na wzajemną konkurencyę!

Przełom jest zaiste olbrzymi, ale stanowi on tylko odbicie interesów, wysnutych przez obecne życie ekonomiczne. Swobodne współzawodwnictwo, wędzidła, jakie na nie nałożono w postaci ceł ochronnych, wreszcie dalsze kroki na tej drodze, które zrodziły teoretyków karteli, wszystko to są następstwa potrzeb, jakie kolejno ukazują się w łonie wielkiego przemysłu. Póki wolna konkurencya rzucała drobną osadę włościańską i warsztat rzemieślniczy w otchłań nędzy, lecz dawała zyski wielkiemu przedsiębiorcy; póki wzajemne współzawodnictwo skazywało tłumy pracujące na niską stopę zarobkową, a właśnie dzięki temu dawało sowito zyski przemysłowcom, dopóty wolną a nieskrępowaną grę sił ekonomicznych uznawano za niezbędny warunek dobrobytu narodowego, a dla ofiar, które masowo ginęły w burzliwym potoku konkurencyjnym, ekonomiści mieli na ustach jedynie słowa pogardy lub przekleństwa, kiedy protest z ich strony stawał się wymowniejszym. Atoli z biegiem czasu siły wytwórcze, powołane do życia przez wielki przemysł, zaczęły coraz bardziej wyłamywać się z pod posłuszeństwa swoim rozkazodawcom; peryodycznie powracające przełomy rynkowe, które w ostatnich czasach przeszły w nieustające przesilenie, przepełnienie rynków we wszystkich dziedzinach, które produkują ważniejsze przedmioty handlu, ciągłe bankructwa i przymusowe wyprzedaże, wszystko to zwolna podkopuje wśród świata wielkoprzemysłowego dawną wiarę, że wolna konkurencya jest „najzdrowszą“, tj. najkorzystniejszą dlań podstawą życia gospodarczego. Niepewność bytu wzrasta, a z nią chęć okiełznania rujnujących wpływów owej konkurencyi. Cła ochronne były następstwem tego zwrotu w duszy kapitalisty: miały one oswobodzić zyski krajowe od napływu towarów zagranicznych. Sądzono, że dla przemysłu krajowego powrócą dawne złote czasy. Atoli skutki nie odpowiedziały pokładanym nadziejom. Przesilenia zgoła nie zmniejszyły się—owszem, przeszły w istotne huragany; konkurencya nie zwolniała w natężeniu. Wielcy przemysłowcy zrozumieli, że nie współzawodnicy zagraniczni, przynajmniej nie tylko oni są jedynymi winowajcami, że główne źródło klęski spoczywa we wzajemnej konkurencyi pomiędzy przedsiębiorstwami krajowemi. Pod wpływem takiego doświadczenia poczynają zwolna wyłaniać się inne dążności, coraz silniej zaznaczane. Wreszcie owoc dojrzał: przedsiębiorcy chcą w swoje ręce ująć zarówno regulowanie ceny, jako też ilości wyrabianego produktu, gdyż tylko wówczas będzie można usunąć nadmierną produkcyę i zastoje rynku. A ponieważ zcentralizowanym gałęziom produkcyi o wiele łatwiej jest zapanować nad żywiołowemi potęgami rynku, przeto kapitaliści wywnioskowali, że gdyby produkty wyrabiano w olbrzymiem przedsiębiorstwie, któreby dzięki swojemu ogromowi wystarczało dla potrzeb rynku, obfitowało w kapitały i w najświeższe wynalazki techniczne, wtedy wszelka obawa przed współzawodnikami byłaby zbyteczną, raj zaś zapanowałby na ziemi — dla zbieraczy zysków. Wywody logiki zostały niebawem uzupełnione przez odpowiednią praktykę, powołującą do życia trusty i kartele, jako instytucye, które czynią zadość warunkom, potrzebnym do szczęścia kapitalistów. Próby podejmowano w różnych gałęziach przemysłu. Rozumie się, te nowe instytucye powstawały nie dowolnie, ale ich porodem rządziły pewne określone prawa. W żaden sposób niepodobna łudzić się nadzieją, aby 5000—6000 drobnych majstrów tokarskich związało się kiedykolwiek w spółkę kartelową, regulującą rozmiary wzajemnej produkcyi; tymczasem takie porozumienie jest rzeczą najzupełniej możliwą dla żelaznych walcowni, których w pojedynczym kraju znajduje się

*) A. Braun *Die Kartelle*, Berlin.

co najwyżej kilkadziesiąt. Innemi słowy, kartele ukazują się w jakiejś gałęzi przemysłu tylko wtedy, kiedy już w niej uprzednio zapanowała odpowiednia centralizacya. Nie dziw, że po raz pierwszy zjawiły się one w przedsiębiorstwach komunikacyjnych: kolejowych, parostatkowych, naprzód w tej postaci, że na współzawodniczących z sobą liniach wyrównano taryfy przewozowe, później powstały wspólne zarządy, wreszcie same towarzystwa zlały się z sobą. Górnictwo, huty, fabryki, obrabiające metal, zakłady chemiczne, oto gałęzie, w których kartele najbardziej zapuściły korzenie. Pierwsze ukazały się zaledwie przed trzema dziesiątkami lat, ale istotny rozwój datuje się jeszcze od późniejszej chwili. Nic nie może być bardziej przekonywającego, że organizacye kartelowe wyłoniły się z doświadczenia, nad tę okoliczność, iż era ich na lądzie europejskim rozpoczyna się od strasznego huraganu ekonomicznego, jaki wstrząsnął Niemcami i Austryą w r. 1873. Dzisiaj wielki przemysł zaszedł już bardzo daleko na tej drodze, kartele przestały być jakąś rzadkością i są normalnem zjawiskiem życia ekonomicznego. Tabliczka statystyczna, którą ułożył Grossman dla Niemiec w swojej pracy o kartelach, najlepiej uzmysłowi nam napięcie tego rozwoju. A zatem w tym kraju

	1887	1888	1889	1890
istniało starych karteli .	42	68	67	92
powstało nowych . .	30	20	50	23
upadło	2	13	11	2

Jak zaś dowodzą najświeższe dane z Niemiec, to rozwielmożnianie się związków kartelowych idzie coraz dalej, a z organizacyi czysto krajowej stają się one międzynarodowemi. Zresztą najlepsza statystyka jest wielce podejrzaną. Z powodu przeszkód prawnych, jakie ta nowa forma sojuszu przedsiębiorczego spotyka na każdym kroku, oraz niechęci ze strony publiczności, związkowcy trzymają swoje zamiary, nawet kiedy je urzeczywistnili, w możliwie doskonałej tajemnicy. Kartele są zwykle istotnymi spiskami, które powstają pokryjomu; dopiero jakiś przypadek lub zdrada wyprowadzają na jaw ich istnienie. Są one wciąż formą przemysłową, która nietylko toruje sobie dopiero drogę, ale nadto poszukuje jeszcze lepszych wzorów organizacyi. To też w chwili dzisiejszej związki te przedstawiają obraz nader różnobarwny. Jedne noszą na sobie nawskroś piętna dzieciństwa, inne przedstawiają już fazę dojrzałą. Stany Zjednoczone przodują w tym rozwoju; tamtejsze trusty są jakby wcieleniem dalekiej przyszłości, oczekującej naszą część świata. Zwykle poczynają się od tego, iż rywalizujące dotychczas przedsiębiorstwa zakładają wspólny kantor, który wchodzi od siebie w stosunki z kundmanami, ale pojedyńczy przedsiębiorcy zachowują jeszcze zupełną swobodę, co najwyżej zostają ograniczeni co do rozmiarów produkcyi. Ale za łącznością w zakresie sprzedaży idzie zwolna łączność w prowadzeniu produkcyi. Jedne zakłady wytwarzać zaczynają tylko pewne gatunki danego towaru, inne — inne rodzaje, niektóre zaś ulegają zupełnemu zamknięciu, mimo że dawny właściciel ciągnie dalej zyski. Samodzielność pojedyńczego przedsiębiorcy wciąż maleje, natomiast wszechwładza kartelu wzrasta, aż wreszcie oddzielny fabrykant traci wszelki wpływ nawet w granicach własnej fabryki. Kartel równocześnie zaczyna zwalczać rywalów, którzy stają po za jego obrębem: wykupuje ich zakłady, obniża cenę wytworów poniżej kosztów i oddaje je kundmanom wrogiego przedsiębiorstwa. „Po za syndykatem — powiada nadreński związek fabryk, wyrabiających żelazo sztabowe — znajduje się tylko parę zakładów z bardzo nieznaczną produkcyą, a kantor związkowy posiada w swojem rozporządzeniu mnóstwo środków trzymania ich w szachu; kiedy tego będzie wymagał interes, jesteśmy w możności wyrugowania ich zupełnie z rynku.“

Zresztą kartele znajdują się dotychczas w fazie nawskroś wojującej. Mają one przeciwko sobie naprzód dotychczasową tradycyę warstwy przemysłowej, która przywykła do samodzielności w swoim zakładzie, a teraz zostaje nagle jej pozbawioną; przeciwko nim są też uprzedzeni liczni teorotycy, którzy, wychowani w zasadach manczesteryzmu, nie mogą pogodzić się z tym zamachem na wolną konkurencyę; prawo również nie posiada norm, któreby uznawały organizacyę kartelową i otoczyły ją swoją opieką. Lecz najważniejszą przeszkodą dla rozwoju jest niechęć ze strony szerokich kół publiczności. Każdy kartel zmierza do stworzenia monopolu rynkowego i do wyszrubowania następnie cen danego przedmiotu tak wysoko, jak tylko na to pozwolą okoliczności; niekiedy różnica pomiędzy nim a tak zwanymi cornerami i ringami, tj. sprzysiężeniami giełdowo-spekulacyjnemi, zostaje niemal zupełnie zatartą i kartel staje się spiskiem przeciwko spożywcom. O ile rzecz dotyczy przedmiotów codziennego użytku, ta zwyżka nakłada sobie pewne powściągi w obawie przed publicznem oburzeniem, ale w zakresie przedmiotów rzadszej potrzeby często zachodzi bardzo daleko. Ogół spożywczy wszędzie zachowuje się bardzo niechętnie, a taka postawa oddziaływa w mniejszym lub większym stopniu na prawodawstwo, które w ostatnich czasach zaczyna pod tym naciskiem występować — przynajmniej pozornie — coraz energiczniej. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie z jednej strony kartele rozwinęły się najsilniej, z drugiej zaś inicyatywa prywatna odznacza się nieznaną gdzieindziej mocą, protest ten przybiera ostrą formą. Świeżo np. został zwołany zjazd spożywców z kilkunastu stanów dla rozpatrzenia środków, jakie należy przedsięwziąć przeciwko wzrostowi organizacyi kartelowej. Dotychczasowe bille uznano za niewystarczające. A jednak brzmią one bardzo surowo. Prawo związkowe z r. 1890 zakazuje tych spójni pod karą więzienia i grzywny pieniężnej, a nadto dozwala poszkodowanym dochodzenia sądownie wyrządzonej im krzywdy i żądania trzy razy większego odszkodowania. Nadto mnóstwo pojedyńczych stanów posiada podobne bile, odznaczające się jeszcze większą surowością. W Texasie każdego uczestnika trustu, agenta, urzędnika oczekuje kara od 500 do 5,000 dolarów, a nadto więzienie, które od roku może przeciągnąć się aż do dziesięciu, a przytem dla wyroku sąd nie potrzebuje znać całego składu trustu, ani posiadać umowy, lecz działa na podstawie faktów, znanych publiczności. Podobnież Kanada uchwaliła surowe prawa. W Europie ustawodawstwo nie zaszło jeszcze tak daleko, chociaż w kilku parlamentach już podano wnioski o obostrzenie postępowania prawnego przeciwko kartelom. A jednak pomimo całej surowości ze strony państwa kartele w Stanach Zjednoczonych rozwijają się nie z mniejszą siłą, aniżeli dawniej, tylko przybierają inną postać. Jeżeli istnieją prawa przeciwko trustom, natomiast nic nie staje na przeszkodzie koncentracyi majątku w tem samem ręku i zamianie monopolu związkowego na prywatny. Cały kapitał związkowców przeniesiony zostaje na jedną osobę, inni zaś są dłużnikami, kartel nadal istnieje i prowadzi swoje roboty, a prawo jest bezsilnem wobec niego. Albo też zarząd trustu bywa przeniesiony do stanu, gdzie ręka prawodawcza nie ściga związkowców. Wszystkie wysiłki spożywców i pomoc państwowa rozbijają się o twardą logikę rozwoju ekonomicznego. Kartele są koniecznością obecnej fazy przemysłowej, logicznym wynikiem wciąż podążającej centralizacyi technicznej. Jeżeli przeszkody prawne nie dozwolą im rozwijać się otwarcie i spokojnie, znajdą one inne łożysko, jakie żłobią obecnie w północnej Ameryce. Należy dobrze to zapamiętać i zamiast nadaremnych wysiłków podjąć inne skuteczniejsze. Ponieważ są one postępem technicznym, niech się rozwijają; prawodawstwu pozostaje tylko jedno, mianowicie wzięcie pod opiekę wyzyskiwanej publiczności przez wprowadzenie państwowej kontroli nad cenami produktu i powołanie do życia odpowiednich taks w tych gałęziach przemysłu, gdzie kartele już ostatecznie zapanowały. Taksa taka będzie zachętą do wprowadzania dalszych wynalazków technicznych, które zmniejszyłyby koszta produkcyi; to znowu da możność państwu dalszej zniżki taryfy. Kartele wtedy ze spisków przeciwko spożywcom zamienione zostaną na dźwignię taniości.

J. W.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Nowe ujście dla wywozu. Susza tegoroczna wywołała brak paszy w całej prawie Europie zachodniej, ściągając klęski na hodowców i gospodarzów wiejskich. Wiele państw stara się o powstrzymanie jej wywozu i ułatwienie przywozu. Rosya znalazła się w położeniu najlepszem. Podczas gdy w Anglii płacą za pud kanadyjskiego siana 90 kop., w Rosyi obecna cena jego wynosi 12—15 kop. To sprawiło, że popyt na paszę zaznaczył się wyraźnie. W siedliskach przemysłu młynarskiego zakupiono prawie wszystkie otręby za gotowkę i z terminem dostawy; na siano zawierają się tranzakcye. Dotychczas nie było one jeszcze przedmiotem wywozu, ale służyło wyłącznie na potrzeby wewnętrzne. *Graždanin* niepokoi się tem zjawiskiem. Zgadza się jeszcze na wywóz otrąb, ale w sianie upatruje rozerwę na czas nieurodzaju. „W dobrze ułożonych stogach może one leżeć kilka lat, dzięki czemu właśnie w wielu majątkach w czasie nieurodzaju uratowano inwentarz. Podobne zapasy należy gromadzić i w roku bieżącym, gdyż wyprzedaż paszy na wypadek nieurodzaju może zabić hodowlę koni i bydła.“ Zboże jednak jest produktem nierównie ważniejszym, a pomimo to nikt nie myśli o zakazie jego wywozu. Przy gospodarce pieniężnej wytwarzanie na wywóz jest niezbędnym warunkiem bytu. Tegoroczna susza na zachodzie otworzyła właśnie nowe ujście dla jednego z naszych produktów, który dotychczas nie był wywożony. Należy z tego skorzystać, ażeby towar ten urobił sobie koryto odpływowe na przyszłość. Produkcya siana posiada u nas jeszcze szerokie pole rozwoju — mamy wiele nieużytków, zarosłych łozą i trzciną, które przy umiejętnej kulturze zamieniłyby się na doskonałe łąki, istniejące zaś mogłyby znacznie zwiększyć swoją wydajność. Dzieje się to skutkiem taniości siana i małego względnie zaludnienia (szczególnie w Cesarstwie),a wzmożony popyt podnosząc cenę, wywołać musi jednocześnie i wzrost wytwórczości siana. Obawy, że może go zabraknąć na miejscowe potrzeby, nie mają podstawy.

— Na naradach delegatów kolejowych, w których brali udział przedstawiciele moskiewskiego komitetu giełdowego i towarzystwa dunajsko-czarnomorskiej żeglugi, wskutek przedłożenia ministeryum skarbu, roztrząsano sprawę wyznaczenia możliwie nizkich taryf bezpośrednich dla wywozu z okręgów przemysłowych moskiewskiego i warszawskiego do krajów bałkańskich. Dotychczas Bułgarya i Rumunia nabywały bardzo mało produktów z państwa ruskiego, co kupcy tłomaczą istnieniem wygórowanych taryf od przewozu towarów do portów dunajskich z głównych siedlisk przemysłowych,

jak Moskwa, Niżnij Nowgorod, Łódź, Sosnowice itd. Wysokie opłaty przewozowe, pobierane przez koleje i parowce floty czarnomorsko-dunajskiej, nie pozwoliły produktom tutejszym współzawodniczyć na rynkach bałkańskich z zagranicznymi, dla których istnieje tańsza komunikacya (z Anglii przez Wiedeń i dalej po Dunaju).

— Ruble srebrne usunięto z notowań giełdy petersburskiej i obecnie nie różnią się one w obiegu niczem od kredytowych. Ruski zarząd skarbowy uznał jednakową ich wartość, przyjmując je przy wypłacie cła po 60 kop. w złocie. (*Swiet*).

— Jarmarki będą opodatkowane odpowiednio do wysokości obrotów i w tym celu podzielone zostaną na cztery klasy z oddzielną normą podatkową dla każdej. (*Rusk. żizń*).

— We Władywostoku i Błagowieszczensku otwarto oddziały banku państwa.

— Kantory ekspedycyjne zostały uznane za niemające nic wspólnego z domami komisowymi i na tej zasadzie uwolnione od uzyskiwania koncesyj i składania kaucyj.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Umowa rusko-amerykańska.

Prawit. Wiestnik ogłosił umowę zawartą między Stanami Zjednoczonemi a Rosyą co do wzajemnego wydawania przestępców. Właściwie jest to tylko protokół uzupełniający, gdyż właściwa konwencya zawarta została jeszcze w marcu 1887 r. Oba tedy państwa będą wydawały sobie osoby, które spełniły, zamierzyły spełnić, albo też brały udział w jednem z poniższych przestępstw: wszelkie morderstwo, gwałt, podpalenie, kradzież z włamaniem, zwykła jeżeli wartość przedmiotów przenosi 300 rs., fałszowanie dokumentów, monet i podrabianie pieczęci, roztrwonienie sum skarbowych lub publicznych, rozbój morski lub bunt załogi okrętowej, zniszczenie lub usiłowanie zniszczenia w celach zbrodniczych — kolei, pociągów, domów itp., jeżeli powodują niebezpieczeństwo dla życia ludzkiego. Protokół uzupełniający stanowi, że przestępcy wydawani będą, jeżeli czyny ich są karane przez prawa obu państw konwencyjnych. Nadto w osobnym artykule orzeka on wyraźnie: „Nie będzie uważany jako przestępstwo polityczne, ani jako czyn, pozostający w związku z takiem przestępstwem, zamach na życie Osoby, rządzącej jednem z państw konwencyjnych lub Członków Jej Rodziny, jeżeli zamach ten polega albo na samem popełnieniu morderstwa bez premedytacyi i z premedytacyą, albo na otruciu, albo na udziale w takiem przestępstwie.“

Podatek od mieszkań.

Ogłoszony został rozkład podatku mieszkaniowego. Odsyłając czytelników, pragnących poznajomić się szczegółowo z paragrafami ustawy, do jej źródła urzędowego (*Prawit. Wiestnik*), podajemy tylko wykaz liczbowy. Wszystkie miasta i osady podzielone zostały na 5 klas: do pierwszej należą Petersburg i Moskwa, do drugiej w Królestwie tylko Warszawa, do trzeciej— Kalisz, Łódź i Lublin, do czwartej inne miasta gubernialne i Częstochowa, do piątej — reszta.

Klasa II.

	Od rs.	do rs.	Rs. k.
1.	225	270	3 50
2.	270	360	6 —
3.	360	450	8 —
4.	450	540	11 —
5.	540	630	14 —
6.	630	720	17 —
7.	720	810	21 —
8.	810	900	25 —
9.	900	1,000	29 —
10.	1,000	1,100	33 —
11.	1,100	1,200	37 —
12.	1,200	1,300	41 —
13.	1,300	1,400	46 —
14.	1,400	1,500	52 —
15.	1,500	1,600	58 —
16.	1,600	1,700	64 —
17.	1,700	1,800	71 —
18.	1,800	1,900	79 —
19.	1,900	2,000	86 —
20.	2,000	2,100	95 —
21.	2,100	2,200	103 —
22.	2,200	2,300	112 —
23.	2,300	2,400	122 —
24.	2,400	2,500	132 —
25.	2,500	2,600	143 —
26.	2,600	2,700	154 —
27.	2,700	2,900	165 —
28.	2,900	3,100	181 —
29.	3,100	3,300	201 —
30.	3,300	3,500	225 —
31.	3,500	3,700	253 —
32.	3,700	3,900	285 —
33.	3,900	4,100	320 —
34.	4,100	4,300	360 —
35.	4,300	4,500	403 —
36.	4,500	—	10% od ceny lokalu.

Klasa III.

	Od rs.	do rs.	Rs. k.
1.	150	180	2 50
2.	180	240	4 —
3	240	300	5 50
4.	300	360	7 —
5.	360	420	9 —
6.	420	480	11 50
7.	480	540	14 —
8.	540	600	16 50
9.	600	700	19 —
10.	700	800	23 —
11.	800	900	28 —
12.	900	1,000	33 —
13.	1,000	1,100	39 —
14.	1,100	1,200	46 —
15.	1,200	1,300	53 —
16.	1,300	1,400	61 —
17.	1,400	1,500	70 —
18.	1,500	1,600	79 —
19.	1,600	1,700	89 —
20.	1,700	1,800	100 —
21.	1,800	2,000	111 —
22.	2,000	2,200	129 —
23.	2,200	2,400	152 —
24.	2,400	2,600	181 —
25.	2,600	2,800	215 —
26.	2,800	3,000	255 —
27.	3,000	—	10% od ceny lokalu.

Klasa IV.

	Od rs.	do rs.	Rs. k.
1.	120	144	2 —
2.	144	192	3 —
3.	192	240	4 50
4.	240	288	6 —
5.	288	366	7 50
6.	366	384	9 —
7.	384	432	11 —
8.	432	489	13 —
9.	480	500	15 50
10.	500	600	16 50
11.	600	700	21 —
12.	700	800	26 —
13.	800	900	31 —
14.	909	1,000	38 —
15.	1,000	1,100	46 —
16.	1,100	1,200	54 —
17.	1,200	1,300	63 —
18.	1.300	1,400	73 —
19.	1,400	1,500	84 —
20.	1,500	1,600	96 —
21.	1,600	1,700	109 —
22.	1.700	1,800	122 —
23.	1,800	1,900	136 —
24.	1,900	2,000	152 —
25.	2,000	2,100	168 —
29.	2,100	2,200	184 —
27.	2,200	2,300	202 —
28.	2,300	2,400	221 —
29.	2,400	—	10% od ceny lokalu.

Klasa V.

	Od rs.	do rs.	Rs. k.
1.	60	72	1 —
2.	72	96	1 50
3.	96	120	2 —
4.	120	144	3 —
5.	144	168	3 50
6.	168	192	4 50
7.	192	216	5 50
8.	216	240	6 50
9.	240	300	8 —
10.	300	400	11 —
11.	400	500	16 —
12.	500	600	23 —
13.	600	700	32 —
14.	700	800	42 —
15.	800	900	54 —
16.	900	1,000	68 —
17.	1,000	1,100	84 —
18.	1,100	1,200	101 —
19.	1,200	—	10% od ceny lokalu.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Urząd rekrucki gubernii warszawskiej wyznaczył następujące terminy tegorocznego poboru: w Warszawie losowanie odbywać się będzie od 27 października do 27 listopada, rekruci zaś przybyć winni na zborny punkt 28 listopada; w powiecie warszawskim w 1-m rewirze od 27 października do 3 listopada, w 2-m — od 5 do 9 listopada; w pow. radzymińskim od 27 października do 12 listopada, nowomińskim do 12 listopada, w błońskim do 7, sochaczewskim do 17, łowickim do 8, grójeckim do 17, kutnowskim od 27 paźdz. do 7 list., w gostyńskim od 8 do 21 listop., we włocławskim od 27 października do 6 listopada i w nieszawskim również do 6 go listopada.

— W Ajdżergadach we wschodniej Syberyi znaleziono szkielet mamuta bardzo dobrze zachowany. W kościach jego pozostał się dotąd szpik. Według opowiadań mieszkańców — przed trzema laty było jeszcze całe cielsko, które pożarły dzikie zwierzęta.

— Zatwierdzono ustawę stowarzyszenia spożywczego w Wyszogrodzie.

— Obostrzono przepisy dla utrzymujących kantory bon, nauczycielek i nauczycieli prywatnych. Strona, narażona na zawód, wskutek złej informacyi, będzie mogła żądać odszkodowania.

— Z funduszów rządowych wyasygnowano 600 rs. na badania geologiczne w okolicach Kielc, Chęcin, Małagoszczy i Pierzchnicy przy udziale 4-ch uczniów dąbrowskiej szkoły górniczej.

— Oberpolicmajster warszawski wydał rozporządzenie, aby przy wydawaniu paszportów objaśniano emigrantów, mających udać się do Ameryki, że nie powinni brać biletów na parowce, odpływające z Hamburga, ponieważ wychodźcy z Rosyi nie są przyjmowani do tego portu.

Szkoły. Studenci uniwersytetów, za niezdawanie egzaminu w ciągu lat trzech, będą wydalani, a za dwuletnie ociąganie się — pozostawiani na tym samym kursie na rok następny. Niektóre wszechnice starają się o zastosowanie tego przepisu dopiero w roku przyszłym, ponieważ wielu studentów zalega w egzaminach. (*Grażdanin*).

— W Łomży otwartą będzie szkoła ogrodnicza, na którą koncesya jest już zapewniona. Kapitał zakładowy 40,000 rs. Program podobny do istniejącego w szkole częstochowskiej.

— Od roku szkolnego 1893/4 wejdzie w życie rozporządzenie, mocą którego w szkołach parafialnych luterańskich wykład wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem religii, odbywać się będzie w języku ruskim.

— Ordynatorem fakultetowej kliniki chirurgicznej mianowano p. Witolda Horodyńskiego.

— Szkoła górnicza w Irkucku urządza się według typu istniejących na Uralu, Królestwie Polskiem i na Południu Rosyi ze zmianami odpowiedniemi do większego rozwoju produkcyi złota.

Sprawy kolejowe. Koleje: Warsz.-Wiedeńska, Nadwiślańska i Iwangrodzko-Dąbrowska prowadzą układy celem wprowadzenia biletów powrotnych pomiędzy stacyami Warszawa, Kielce i Radom.

— Kolej Nadwiślańska ulega naprawie niemal na całej swojej długości. Poprawiają się również budynki służbowe i linia telegraficzna.

— Pomiędzy Warszawą Terespolską, Siedlcami i Łukowem a Sewastopolem, Jałtą i Batumem ustanowiono komunikacyę bezpośrednią. Na przestrzeni morskiej przewozi Towarzystwo ruskiej żeglugi i handlu.

— Kolej Terespolska porozumiewa się z Południowo-zachodniemi celem utworzenia wspólnego biura stacyi miejskiej w Warszawie, którego zadaniem głównem będzie ułatwienie przewozu transportów pomiędzy Warszawą, Kijowem i Odesą.

Zdrowie publiczne. Przy szpitalu w Piotrkowie ukończono budowę kamery dezynfekcyjnej, ofiarowanej miastu przez firmę Fitzner i Gamper z Sosnowic. Koszt jej wynosi około 3,000 rs. Dezinfekcya przeprowadza się za pomocą gorącej pary.

— Otwarto w Warszawie kamerę dezinfekcyjną pod kierunkiem dr. Stępniewskiego i chemika Polkowskiego. Zakład dokonywa dezinfekcyi w mieszkaniach prywatnych i na miejscu.

— Departament lekarski postanowił szereg środków dla zapobieżenia zawleczenia cholery przez pielgrzymów, powracających z Mekki. Wolno im przybywać

tylko przez Odesę, Sewastopol i Batum, przyczem pod dawani są dezinfekcyi i rewizyi sanitarnej.

— Wypadki cholery spostrzeżono w Monte Carlo; wśród amatorów rulety powstał popłoch.

— Na Woli w Warszawie rozpoczęto budowę szpitala żydowskiego.

Dobroczynność publiczna. Zatwierdzono zapisy: 2400 rs. Jana i Konstancyi Milewskich na fundusz wieczysty, od którego procent przeznacza się na rzecz komitetu kolonii letnich i 10,906 rs. A. Szenfeldera na przytułek paralityków warszawskiej gminy ewangelicko-augsburskiej.

— W Ciechocinku odbędzie się na mocy pozwolenia ministra spraw wewnętrznych loterya na rzecz miejscowego szpitala. Biletów będzie nie więcej nad 4,000 po 25 k., oraz 500 kart wejścia po 1 rs. Dochód posłuży do odnowienia gmachu.

Wypadki. W okolicach Zamościa spadł grad wielkości kurzego jaja połączony z burzą, wskutek czego ucierpiały zasiewy (w niektórych miejscach wytluczone zupełnie), ogrody i budynki gospodarskie. W ostatnich czasach w wielu miejscowościach Królestwa klęska ta zaznaczyła się dość silnie i straty ztąd wynikłe przedstawiają się poważnie.

— Zgorzał prawie cały Serock; ocalały tylko poczta, kościół, sąd gminny i kilkanaście domów w rynku. Kilka tysięcy ludzi straciło dach nad głową.

— W magazynach wystawy w Chicago powstał pożar, skutkiem czego runęła wieża. 40 strażaków straciło życie, 60 zaś otrzymało rany. Straty wynoszą pół mil. dolarów.

— W kopalni węgla Thornhille w Anglii wskutek wybuchu gazów 150 górników zostało zasypanych. Pożar nie dopuścił natychmiastowego ratunku.

Wynalazki. Mechanik kolejowy w Koluszkach wystąpił z prośbą do departamentu handlu i rękodzieł o przyznanie mu patentu na przyrząd do automatycznego spinania wagonów.

— Telegrafista kolei Nadwiślańskiej wynalazł dwa przyrządy: pierwszy służy do alarmowania stacyi w razie zaśnięcia lub wydalenia się dyżurnego telegrafisty — drugi, nazwany manipulatorem, umożliwia osobom nieumiejącym telegrafować, wysyłanie depesz znakami Morse'a.

Wystawy. Pod opieką warszawskiego salonu artystycznego powstaje w r. b. „Wystawa stała projektów obrazów i rzeźb," mająca ułatwiać porozumienie między wytwórcami i nabywcami, umożliwiając im poznanie nieuwydatnionych jeszcze dostatecznie myśli artystów i poczynienie zamówień.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi. Zapewnie Pan w poprzedniej odpowiedzi zauważył omyłkę drukarską: zam. *Sundary* naturalnie winno być *Sunday.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 9 Іюля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.